Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok V. Niedziela, dnia 16 maja 1937 r. Nr. 20



Wesołych Zielonych Świąt!

WOJCIECH HOLM

31)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

— Panie, zwrócił się Oliwier do jednego z subiektów — ten pan, przyjaciel mój, powraca z pieszej wycieczki górskiej, na której, jak pan widzi, odzienie jego ucierpiało i chce się u pana wyekwipować.

Leon był bardzo wdzięczny Oliwierowi za tę delikatność, wybrał sobie pojedyńczy ale nadzwyczaj porządny, ciemny garnitur i zaraz tam się przebrał. Dano mu też nowy kapelusz, trzewiki, koszulę ,kołnierzyk, krawatkę i rękawiczki.

— Do djabła! Teraz dopiero widzę — zawołał Oliwier , patrząc na niego uważnie — jaki z pana ładny chłopiec. Ferier z pewnością pana przyjmie, choćby pan nawet nic nie umiał, bo on lubi mieć w trupie przystojnych ludzi w kostiumie jeźdźców.

Szli przez kilka ulic, aż do cyrku, który wprawdzie nie był masywny, ale solidnie zbudowany z drzewa i żelaza.

— Oto dyrektor — rzekł Oliwier.

U wejścia stał murzyn w purpurowym stroju z wyłogami srebrnymi. Puścił ich do wnętrza, kłaniając się uprzejmie, a Oliwier nim stanął przed portierą, którą mieli podnieść, by się do środka, zapytał Leona cichym głosem:

— Pod jakim nazwiskiem mam pana dyrektorowi przedstawić?

— Nazywam się Leon — odpowiedział półgłosem Waldau.

— Niech pan tylko nie będzie zanadto skromny — upominał Oliwier, wprowadzając go.

Ze zdziwieniem zobaczył przed sobą na arenie cyrkowej rozgorączkowanych artystów, którzy w codziennych strojach i przy dziennym blasku dziwne robili wrażenie.

Jeden gimnastyk w stroju klowna, usiłował utrzymać na końcu nosa parasol i biedz z nim naokoło stołu, co mu się jednak nie udało.

Koledzy śmiali się z niego, a mężczyzna jakiś o czerwonej twarzy wydawał okrzyki niezadowolenia.

— Ja to potrafię lepiej — szepnął Leon towarzyszowi.

— Więc chodźmy!

Oliwier wziął go pod ramię i zaprowadził do dyrektora.

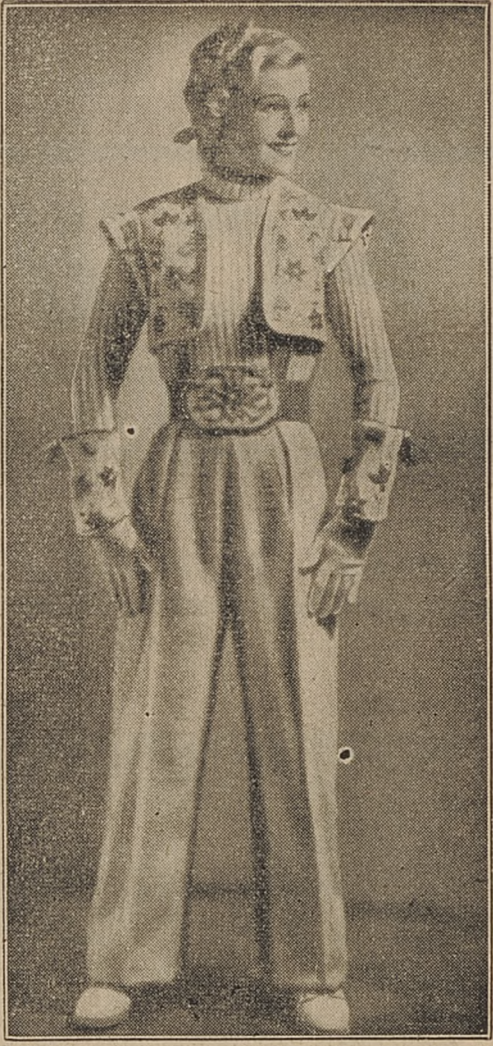
— Monsieur Ferier — rzekł, ukłoniwszy się — jestem w tem szczęśliwym położeniu, że mogę panu przyprowadzić gimnastyka, którego pan już dawno poszukuje. Jest to monsieur Leon, mój przyjaciel.

— A co pan umie? — spytał uprzejmie Ferier przystojnego młodzieńca.

— Produkcje z parasolem wykonywałem nieraz — odpowiedział Leon — prócz tego...

— Niech pan zaraz spróbuje — przerwał mu dyrektor.

Leon wziął parasol oparty o barierę areny, rozpiął go i postawił go sobie na czole. Chodził z nim z początku pomału, bo dawno już takich figlów nie robił, widząc jednak, że nie stracił wprawy, ośmielił się i zaczął biedz, a potem kręcił się w kółko, tańcząc walca.



Głośna artystka niemiecka Lilian Harvey występuje wraz z Willy Fritschem w nowym filmie, który niebawem ukaże się na ekranach.

W tym samym kroku zbliżył się do jednej przy barierze stojących baletnic, skłonił się przed jedną z nich, angażując ją do tańca.

Tańczył z nią bardzo zgrabnie naokoło i w tańcu szepnął jej coś.

W jednej chwili oboje znaleźli się na ziemi i przed oczyma widzów zakrył ich różnokolorowy parasol.

— Dobrze było — szepnęła mu niebrzydka jego tancerka, tuląc się pod parasolem do niego — ale niech pan wstanie, bo mnie będą później wyśmiewać.

Leon wstał i patrzył na dyrektora.

— Nieźle! — rzekł Ferier — może pan wystąpić dziś wieczorem. Narazie mogę panu dać 60 guldenów miesięcznie. Czy pan ma już tutaj swoje kostiumy?

— Ależ panie Ferier — rzekł prędko Oliwier, nie dopuszczając do słowa Leona — co pan myśli? Mój przyjaciel brał 100 reńskich dotychczas! Niech mu pan da 80 przynajmniej, a pan nie pożałuje.

— Niech będzie — rzekł dyrektor obojętnie — a jak z pańskim kostiumem, czy występuje pan jako klown?

— Tak i nie — odpowiedział Oliwier tajemniczo — będzie coś zupełnie nowego, zobaczy pan!

Ukłonił się wszystkim i wziął Leona ze sobą.

— Dziękuję panu bardzo — rzekł Leon serdecznie, gdy byli na ulicy. Obawiam się jednak, czy pan nie za wiele za mnie obiecywał.

— Tak zgrabnie się pan wywiązałeś ze swego zadania, iż nikt nie przypuszcza, że pan jesteś tylko dyletantem. Nauczę pana jeszcze kilka sztuczek i wszystko będzie dobrze.

Kostiumów mam bardzo wiele, których tu jeszcze nie znają. Wyszukam najlepsze, a jeżeli nie będą zupełnie dobre na pana, to Barbara przerobi.

— Nie wiem, jak mam panu dziękować — mówił Leon wzruszony — za taką dobrą usługę.

— Chodźmy na obiad — przerwał mu Oliwier.

Leon od kilku dni nie jadł nic ciepłego, to też nie bardzo się bronił tej propozycji.

Ale w hotelu, w którym Oliwier mieszkał, chciał się Leon z nim pożegnać i pójść do restauracji.

Na to nie pozwolę, odpowiedział Oliwier — cóżby Nina powiedziała, gdybym przyszedł bez pana.

Zaciągnął go do siebie i kazał przynieść trzecie nakrycie.

Nina z radością przywitała ojca i nowego przyjaciela.

Potem ojciec posadził ją na wysokie krzesełko przy stole, a ona zmówiła krótki pacierz.

Wszyscy troje siedli do obiadu, przy którym posługiwał się kelner, Conradino.

Niewykwintne, ale pożywne potrawy prędko zostały zjedzone. Oliwier nalał wina do lampek i panowie zostali przy winie, podczas gdy Nina poszła do swojej dozorczyni.

Leon dziwił się dystyngowanej towarzyskości swego gospodarza. Ojciec Oliwiera i dziad byli artystami jazdy na koniu i on z zamiłowaniem oddał się temu zajęciu.

Niebezpieczne, ale przyjemne zajęcie przyniosło mu pewną sławę i byłby się czuł szczęśliwym, gdyby nie los zawistny, który mu zadał cios bardzo bolesny.

Młoda, jego piękna żona, zręczna artystka cyrkowa, spadła z trapezu tak nieszczęśliwie, że w kilka godzin umarła.

Przy jej łożu śmiertelnym przysiągł, że córeczki, którą mu pozostawiła nie opuści, póki jej losu nie odda w ręce innego godnego mężczyzny.

Wspominając smutne swe dzieje rozrzewnił się i zamilkł. Leon milczał także i w duchu wstydził się w części za to, że dotychczas zawsze tak niesłusznie, niesprawiedliwie a bezpodstawnie potępiał ludzi z cyrku, a powtóre za to — do czego się sam wstydził przyznać przed sobą, że ten człowiek tak strasznie zawstydził go tem, że tak sumiennie spełniał obowiązki rodzinne.

Przykre te rozmyślania przerwał mu Oliwier prowadząc go do garderoby.

— Wprawdzie Ferier życzył sobie, żeby pan wystąpił jako błazen — mówił Oliwier — ale ja nie jestem zatem. W kostiumie klowna piękna postać pańska nie wyglądałaby dobrze i twarz musiałby pan sobie zeszpecić białą szminką. Wolę więc dla pana dziś na przykład ten kostium.

Pokazał mu kamizelkę z rękawami z czerwono-rubinowego atłasu, haftowaną

w srebrne kwiaty. Do tego parę żółtawych wąskich spodni i czerwone wycięte trzewiki.

— Niech pan to włoży na siebie — nalegał — bo może trzeba będzie jeszcze coś poprawić.

Sam pomagał mu się ubierać, a potem stanął zadowolony.

— Może pan śmiało występować — mówił Oliwier — będzie pan miał szalone powodzenie, tym więcej, że poprzednik pański był głupi i niezgrabny.

Bardzo dobrze pan zrobił dziś rano, angażując do tańca Leokadię, bo to nasza najlepsza baletnica. Niech się pan z nią porozumie, żeby włożyła kostium stosowny do pańskiego.

— Dobrze! Leokadia wydaje mi się uroczą! — wtrącił Leon.

Z tym niech się pan nie zdradza, broń Boże, przed panią Ferier — radził Oliwier — jeżeli pan nie chce ściągnąć na siebie niełaski tej zazdrosnej baby. Co zaś do dzisiejszego występu, to nie wątpię o pańskim powodzeniu. Tylko co pan powie, jak Ferier spyta pana o repertuar?

— Umiem nie wiele — odpowiedział Leon zakłopotany — Potrafiłbym jednak stanąć na przykład na głowie drugiej osoby, na wyciągniętej ręce nieść kogoś nie bardzo ciężkiego, jeśliby ten pomagał mi zręcznie balansowaniem i ostatecznie mógłbym występować jako rysownik karykatur.

— Na to ostatnie nasz dyrektor napewno się złakomi — odpowiedział mu Oliwier. — Dawno już karykaturzysty nie mieliśmy. A teraz niech się pan przebierze i chodźmy już, gdyż przed przedstawieniem chciałbym przedstawić pana wszystkim w cyrku.

Miotany sprzecznymi uczuciami, poszedł Leon za Oliwierem. Cieszył się, że znalazł przyjaciela i że nie jest już bezdomnym żebrakiem.

Ale nowy tryb życia, który zaczynał, zawstydzał go bardzo.

Gdzież były jego ideały, jego młodzieńcze marzenia o szczęściu, sławie i zaszczytach?

Prysły złudzenia, nadzieje się rozwiały, a on sam został strącony z piedestału szacunku dla samego siebie w otchłań pogardy.

Zamiast zaszczytów, o których marzył, miał zostać klownem w cyrku. Co za poniżenie, co za ogromny wstyd!

— Ale dobrze mi tak — myślał w dzikiej rozpaczy — sam jestem sprawcą swego przykrego losu. Nie wolno mi się nawet skarżyć, bom sam tego chciał. Zresztą nawet w przebraniu klowna, jeżeli mi starczy sił, mogę w sobie odnaleźć uczciwego człowieka.

A więc odwagi!

ROZDZIAŁ CXV

Na arenie

U wejścia do cyrku stał ten sam murzyn, którego Leon widział przed południem.

Arena była pusta ,a za nią w dużym, na dwie części deskami przedzielonym pokoju, była garderoba męska.

Obecnie drzwi garderoby były otwarte i artyści cyrku gawędzili z sobą swobodnie.

Gdy Oliwier wszedł z Leonem, w garderobie zapanowała cisza.

— Panowie — rzekł Oliwier ceremonialnie — pozwólcie, że przedstawię wam nowego członka naszej trupy — pana Leona Waldau.

Leon skłonił się elegancko, a panie szczególnie Leokadia popatrzyły na niego przychylnie, mężczyźni zaś niechętnie, gdyż wyczuli w nim groźnego współzawodnika.

Leon ze zdziwieniem rozglądał się po garderobie, w której koncentrowała się elegancja i nieporządek, przepych i brud.

Na drewnianych ścianach wisiały duże zwierciadła i małe toaletowe lustra, między którymi tkwiły kandelabry na świecie. Na ławkach i stołkach, wieszadłach i kołkach porozwieszane były stroje błazeńskie, leżały eleganckie szpicruty, obręcze do przeskakiwania itp. Zapach perfum mieszał się z niemiłą wonią stajen przylegających obok, a z gwarem rozmów, prowadzonych w kilku językach europejskich, zlewało się rżenie koni i ryk oswojonych i tresowanych lwów, będących inwentarzem cyrku.

Leon spytał Leokadię ,czy zechce być tak uprzejmą i służyć mu jako partnerka.

— Chętnie ,o ile nie zrobię panu zawodu — rzekła skromnie.

Leon nie szczędził jej komplementów, które przyjmowała jako hołd należny.

— Mógłby pan zaaranżować pantomi-nę — radziła — ja, Róża i Viola moglibyśmy przez chwilę tańcząc koło pana, próbować wydrzeć panu parasol, potem pan mnie zaangażuje i będzie ze mną tańczył, następnie schowamy się pod parasol, tak jak rano, a Róża i Viola będą udawały, że nas szukają podczas ,gdy my wymkniemy się zostawiając parasol.

— Cała produkcja zyska na tym, a więc dobrze!

— A widzi pan? — A w jakim pan będzie kostiumie?

— W czerwonym ze srebrnym haftem.

— W takim razie my włożymy białe suknie z gazy z srebrnymi wyszyciami. Niech pan powie dyrektorowi, a pomówię o tym z koleżankami.

W tej chwili wszedł właśnie do wnętrza garderoby Ferier, prowadząc pod ramię starszą kobietę, jaskrawo wystrojoną i rozglądającą się wokoło.

Ferier wyciągnął z kieszeni złoty zegarek na grubym łańcuszku, obwieszony brelokami i zawołał niezadowolony:

— Trzy na 7-mą! Za kwadrans rozpocznie się przedstawienie, a nikt jeszcze nie jest w kostiumie? Co to ma znaczyć? Kto ma pierwszy numer?

— Toby i Tony! — odpowiedziano mu chórem.

Obydwaj błaźni, dwaj starsi mężczyźni o stroskanych twarzach, byli jeszcze w zwykłych ubraniach. Usprawiedliwiając się gadatliwie, udali się do garderoby, aby przebrać się. W kilka minut byli gotowi.

Mieli na sobie bluzy i szerokie spodnie koloru żółto - zielonego. Na piersiach na łokciach, na plecach i na kolanach, mieli wymalowane potwornie uśmiechnięte twarze.

Policzki pomalowali sobie na biało. Na głowach mieli szpiczaste, rude peruki.

— No, możemy już zaczynać! — rzekł opryskliwie Tony.

— I na mnie nigdy się jeszcze nie czekało! — odparł mu w tym samym tonie Tony.

— Jeżeli ci mrukliwi panowie będą w równie złym humorze na arenie — pomyślał Leon — to nie bardzo ubawią publiczność.

Wdział na siebie kostium końuszego, by stanąć u wejścia na arenę. Poradził mu tak Oliwier, mówiąc, że w ten sposób przyzwyczai się do widoku publiczności i zapozna się lepiej z terenem, na którym ma wykonać swój numer.

Gdy wyszedł z garderoby męskiej, zauważył ze zdziwieniem, że żona dyrektora już czekała na niego.

W rzeczywistości skinęła na niego uprzejmie i rzekła łaskawie:

— Panie Leonie, muszę panu powiedzieć coś, co innym członkom naszej trupy dobrze jest znane. Jestem prawdziwą matką całej trupy i z całym poświęceniem dbam o dobro kolegów. Jeżeli więc pan będzie miał jakieś życzenie, proszę się udać do mnie z całym zaufaniem — jeżeli to tylko będzie w mojej mocy, spełnię je napewno.

To rzekłszy, pogłaskała go tłustą ręką po twarzy i poszła przebrać się do garderoby damskiej.

Leon popatrzył za nią z niemiłym uczuciem. Poczuł wstręt do tej starej, obrzydliwej kokietki i jej rzekomo macierzyńskich uczuć. Równocześnie jednak rozsądek nakazywał mu wstręt ten ukrywać.



Pierwsza belgijska gwardia przyboczna obchodzi w tych dniach stulecie swego powstania. Z okazji tej uroczystości żołnierze włożyli na siebie uniformy, jakie nosili ich poprzednicy z przed 100 laty. Zdjęcie nasze przedstawia różnorodność tych uniformów.

Orkiestra zajęła już miejsca. Ferier, czerwieńszy jeszcze, niż zawsze, dał znak do rozpoczęcia.

Rozległa się melodia jednej z bardzo znanych oper i Leon zobaczył, jak całymi setkami zbierała się publiczność.

Z ogromną przykrością myślał o tym, jak przed tym tłumem będzie musiał wykonywać sztuczki, które dotychczas pokazywał tylko żartem w gronie swoich przyjaciół.

Pomagał kilku sługom cyrkowym przeciągnąć dywany na środek areny, ale duszą bawił w zupełnie innych sferach.

Muzyka umilkła — w podskokach i koziołkach Tony i Toby wybiegli na arenę.

Stanęli obaj na środku, kłaniając się na wszystkie strony. Nogami zdejmowali z głowy stożkowate czapki i powiewali nimi w stronę publiczności.

Z galerii otrzymali za to rzęsiste brawo, po czem rozpoczęli przedstawienie.

Toby z wielomówiącą miną pokazał towarzyszowi pękniętą flaszkę, a ten chciwie wyciągnął ku niej ręce, jak gdyby chciał się napić.

Ale wtedy Toby włożył ją sobie między kolana, co mu wcale nie przeszkadzało, kiwając się, okrążać spragnionego.

Trwało to dość długo i Leon dziwił się drastycznemu humorowi tych ludzi, którzy za dnia w zwyczajnym stroju byli tacy jacyś stroskani i opryskliwi.

Zabrzmiała na nowo muzyka, z areny zaś zabrano dywan i na dużym koniu wyjechała dyrektorka.

Przesadnie wydekoltowana pokazywała grube ramiona i tłustą szyję, a króciutka sukienka odsłaniała jej niezgrabne nogi.

Kilka razy objechała spokojnie arenę kokietując publiczność, choć bez wzajemności. Potem muzyka zaczęła szybciej grać, a na kilku miejscach stanęli chłopcy, trzymając do góry obręcze, przez które miała skakać.

Z zadania tego wywiązała się od biedy, ale tak niezgrabnie i ociężale, że na pierwszy rzut oka było widać, że sprawiało jej to trud niemały.

Publiczność milczała.

Dyrektorowa rzucała wokoło siebie gniewne spojrzenia i skróciła znacznie swoje dalsze produkcje. Wyjechała z areny żegnana kilku pojedyńczymi oklaskami.

Z zadowoleniem spostrzegła, że Leona nie było pomiędzy widzami, bo był w garderobie, dokąd się udał, aby się przebrać.

Leon nie odczuwał wogóle tremy, którą musi zwykle przebyć każdy debiutant, przeciwnie, patrzył zupełnie obojętnie na duży tłum widzów.

Cóż mu na tym zależało, czy publiczność przyjmie nowego klowna oklaskami, czy gwizdem?

Uczuł wstręt do nowego, niejako przez los narzuconego mu rzemiosła i byłoby mu zupełnie obojętne, gdyby mu Ferier wymówił je tego samego wieczora.

Oliwier, który pomagał swemu nowemu przyjacielowi przy toalecie, dziwił się jego zimnej krwi.

— Uda się panu — szepnął mu życzliwie — bo puls pana nie jest wogóle przyśpieszony. Tak być powinno!

Gdy Leon wychodził z garderoby, zobaczył Leokadię, Różę i Violę już w białych toaletach. Miały na sobie krótkie, białe spódniczki ze srebrnymi tresami i srebrne wianuszki w sztucznie trefionych włosach. Wszystkie trzy uśmiechały się łaskawie do swego nowego, pięknego kolegi.

— Niechże pan wejdzie — informowała go Leokadia — sygnał już przebrzmiał, my także zaraz za panem wychodzimy.

— Co za piękny mężczyzna — rzekła zwracając się do swoich koleżanek, ale tak, że Leon odchodząc, nie mógł tego słyszeć.

— Tak — odpowiedziała Viola, która w duchu stwierdziła to samo.

Leon wszedł na arenę i ukłonił się zgrabnie publiczności.

Wyglądał pięknie w swoim fantastycznym kostiumie i odbijał korzystnie od niezgrabnej postaci dyrektora, który wyszedł z nim razem.

Ferier oznajmił publiczności, że udało mu się nareszcie z wielkim trudem i kosztem wynaleźć i zaangażować artystę, który jest geniuszem w dziedzinie gimnastyki i fars błazeńskich. Wyraził też nadzieję, że szanowni goście przyjmą z sympatją nowego członka cyrku Feriera, że mu wdzięczni będą za tak dobrą akwizycję.

— Co za kłamstwo! — pomyślał Leon, kłaniając się uprzejmie w lewo i w prawo.

Uprzejme przyjęcie ze strony publiczności i ogniste spojrzenia błyszczących oczu pięknych dam, nie czyniły na nim najmniejszego wrażenia i młody filozof pomyślał:

— Świat lubi być oszukiwany!

Ferier skłonił się i wyszedł zadowolony ze swej przemowy, a w tej samej chwili wyskoczyły na arenę trzy baletnice, trzymając się za ręce. Jedna z nich trzymała w ręce duży, czerwony parasol i podała go Leonowi z filuternym śmiechem.

Leon wziął podany parasol i rozpoczęło się nadzwyczaj miłe widowisko.

Leon trzymał rozpięty parasol przy skroni i tańczył z baletniczkami po dywanie. Zespół to podawał sobie ręce, to nawzajem się ścigał, komponując szereg figur, w których Leon, jako zręczny danser, nigdy się nie pomylił.

Na końcu produkcji publiczność obdadarzyła artystów oklaskami.

Ale oklaski zamilkły na dowód, że cała owacja dotyczyła tylko Leona.

Gdy wyszedł z areny, przystąpił do niego uradowany dyrektor cyrku Ferier i poklepał go życzliwie po ramieniu.

Może pan powtarzać ten sam numer co wieczora, dopóki sztuka pójdzie — rzekł po chwili. — Potem trzeba będzie pomyśleć o czymś innym. Oliwier mówił mi, że pan ma wspaniały i niewyczerpany repertuar.

Podejście dyrektorowej oszczędziło Leonowi odpowiedzi.

— Muszę panu wyrazić moją radość z okazji udanego debiutu, panie Leonie — przemówiła tęga dama słodziutkim głosem — rutyna pańska jest rzeczywiście godna podziwu. Czy byłby pan tak dobry zjeść z nami po przedstawieniu skromną kolację? Prawda Raulu — rzekła, zwracając się do swego męża — że ty przyłączasz się do mej prośby?

Ferier ze swej strony dodał natychmiast kilka zachęcających słów i Leonowi nie pozostawało nic innego, jak tylko zaproszenie przyjąć.

Oliwier, który podszedł, został także zaproszony.

Podczas, gdy omawiano kolację, Leon spostrzegł, że gimnastyk, którego rolę objął, stał teraz na stronie w liberii koniuszego i przypatrywał się z pod oka całej grupie.

Oliwier, który podchwycił to spojrzenie, rzekł do Leona:

— Ma pan teraz w Tomie nieprzebłaganego nieprzyjaciela i to nie tylko dlatego, że go pan zaćmił, ale bardziej dlatego, że znalazł pan łaskę w oczach Leokadii. Niech to jednak pana nie zraża, bo Ferier już mu wymówił.

Chciałbym mu wyrazić moje współczucie! — rzekł Leon.

— Ależ! Skompromitował by się pan tylko! — zawołał Oliwier przerażony — tego się w cyrku nie praktykuje, niech więc pan nie wprowadza nowych zwyczajów.

Niech pan się umizgnie lepiej do tych trzech gracyj, które wkrótce znikną, aby się przebrać do pantominy i niech sobie pan w nich zjedna na przyszłość chętne partnerki.

Mimo, że to nie podobało się Leonowi, posłuchał przyjacielskiej rady. Przechodząc jednak obok Toma, nie mógł się powstrzymać, aby mu nie rzucić litosnego spojrzenia i spotkał się z jego, pełnym nienawiści wzrokiem.

Leonowi zrobiło się tak żal biednego człowieka, że prawie przeklinał swoje powodzenie, które spowodowało nieszczęście Toma.

Sądzono mi już widocznie wnosić wszędzie cierpienie i niedolę myślał z goryczą i pod wrażeniem tych myśli, zbliżył się do swych partnerek. Rozmowa z nimi nie szła mu jednak składnie.

Taki piękny mężczyzna, a taki bez życia — pomyślały Róża i Viola z żalem.

— Poczekaj, poczekaj! — myślała chytra Leokadia, — już on się z czasem rozrusza. Nie takich do szału doprowadzałam!

Leon włożył znów kostium koniuszego i stanął w drzwiach areny.

Zobaczył Oliwiera jeżdżącego na wspaniałym rumaku „Abdel Kader" i szczerze podziwiał swego nowego przyjaciela.

Siedział on na koniu z prawdziwą gracją i pewnością siebie i wykonywał najodważniejsze sztuki z podziwu godną łatwością.

Szalone oklaski i okrzyki publiczności były dowodem ogólnego podziwu dla odważnego jeźdźca. Oliwier musiał się kilka razy pokazywać na arenie, nim mu pozwolono oddalić się.

Gdy Leon przystąpił do niego i wyraził mu swój szczery podziw, ten odpowiedział niedbale:

— Wiem sam, że jeżdżę nieźle i że mnie publiczność lubi. I „stary" wie o tym, bo nazwał mnie kiedyś żartem magnesem swego cyrku. Dlatego też obchodzi się ze mną tak delikatnie, jak z surowym jajkiem, a życzenia moje uwzględnia skrupulatniej, niż życzenia samej pani dyrektorowej. Panu winszuję również pełnego sukcesu.

— Zadziwiał mnie pan swoją pewnością i nie wątpię w to, że się pan utrzyma. Przez całe trzy tygodnie może pan co wieczór dawać jedną i tę samą sztukę z małymi zmianami. Później nauczę pana czegoś nowego.

Skinął Leonowi głową i wszedł do garderoby, aby się przebrać. Miał bowiem jeszcze brać udział w kadrylu, który tańczono w staro-niemieckich strojach.

Tańcząc, nie mógł się wyzbyć przykrych myśli.

Co za przyszłość go czekała! Pokazywać się publiczności co wieczór w tym błazeńskim stroju i wyprawiać takie szopki!

Z klownami i baletnicami zdobywać sobie łaskę publiczności! Jakie to upokarzające dla człowieka tego wykształcenia i należącego do towarzystwa!



Sprzedaż tylko w paczkach. — Wystrzegać się naśladownictw!

A przecież nie miał innego wyboru! Albo umrzeć z głodu, zginąć w nędzy i niedostatku, albo poświęcić się temu znienawidzonemu zarobkowi. Nie widział innego wyjścia.

Miał obracać się odtąd w gronie tych nieokrzesanych i prostych ludzi, wśród których Oliwier stanowił chlubny wyjątek.

Miał spędzać tu dni bezczynnie, a wieczorami wykonywać mechanicznie, zawsze te same, zabijające umysł sztuczki, aby nie zginąć z głodu.

Opanowało go straszne zniechęcenie i beznadziejna rezygnacja. Postanowił jednak czekać, co mu los przyniesie. Na żaden czyn energiczny nie mógł się dotąd zdobyć.

Po przedstawieniu odszukał Leona Oliwier:

Możemy już przebrać się i pójść na kolację do pani Ferier. Powiedziałem „staremu", aby zaprosił jeszcze Leokadię, Różę i Violę. Będzie bardzo wesoło!

Leon uczynił, jak mu Oliwier radził. W głębokim zamyśleniu złożył liberię koniuszego i przebrał się w nowe ubranie, które otrzymał od swego nowego przyjaciela.

Przygnębiony i zniechęcony poszedł z Oliwierem w grono ludzi wśród których miał się odtąd obracać!

ROZDZIAŁ CXVI

Ameryka stanowczo nie przyniosła Mayerowi szczęścia. Nieszczęśliwiec ten znajdował się w jakimś gorączkowym stanie. Przed Zuzią zaprzeczał żywo, że go Schulze oszukał, ale w duszy był mocno przekonany, że tak jest niestety i nie szczędził żadnych trudów, aby przyłapać chytrego szachraja.

Lotem błyskawicy przeminął tydzień, za który Mayer miał opłacony wikt i mieszkanie.

— No, rodaku, czas wasz już minął — zwrócił się właściciel oberży do Mayera po upływie tego czasu — pieniędzy więcej nie macie i dlatego nie mogę was tu dłużej zatrzymać, nim nie przejrzę dokładnie waszych kufrów. Nieraz mi się już bowiem zdarzało, że przyjeżdżali tu podróżni z pełnymi i ciężkimi kuframi, a później przekonywałem się, że tam w nich były tylko kamienie i bezwartościowe szmaty.

Z ust Mayera wyrwało się przekleństwo, a oczy zaszły krwią.

— Po co bym jeszcze dłużej miał zostawać w tym przeklętym gnieździe. Tego wydrwigrosza i tak nie znajdę, choć bym tu i do sądnego dnia siedział!

— A tymczasem bilety jazdy stracą swą ważność — wtrąciła pani Biedermannowa obojętnie — a wtedy, nie mając środków na zakupienie innych biletów, będzie pan musiał chcąc nie chcąc tu zostać.

— Bogu na klęczkach podziękuję, gdy to gniazdo już opuszczę — zapewniał Mayer — biegnę do żony, aby jak najprędzej pakowała rzeczy i wyjeżdżamy stęd zaraz.

Pani Mayerowej nie ma w domu, wyszła — rzekła Biermannowa.

— Do diabła! Gdzie ona mogła pójść? — mruknął pod nosem rudy gniewnie — nie zna miasta i jeszcze zabłądzi.



Oto jedno z nowych urozmaiceń, jakimi piękne artystki filmowe w Hollywood uprzyjemniają sobie życie.

— Ten pan, z którym ona wyszła, przyprowadzi ją tu znowu — rzekła Biedermannowa.

— Pan? — wrzasnął Mayer gniewnie — jak to, moja żona wyszła z domu z jakimś obcym panem?

— No i cóż w tym złego? — rzekła pani Biedermann spokojnie. — Tu w Ameryce każda dama ma prawo wychodzić z każdym panem, który jej się podoba.

— Ciekawy porządek — wściekał się rudy — więc na to się ożeniłem, aby obcy panowie chodzili z moją żoną, dla swej przyjemności! Co inne kobiety tu robią, jest mi obojętne, moja żona zaś musi się zastosować do moich życzeń, inaczej kości jej połamię.

— Słuchajcie, rodaku — rzekł Biedermann —, na tym możecie wyjść bardzo źle. Prawo tu jest bardzo ostre, a mąż, który swoją żonę bije, karany jest surowo.

— Cóż to jest za kraj, w którym nie wolno mężowi skarcić swej żony! — irytował się Mayer. — Gdybym miał teraz tego nędznika pod ręką, który napisał tak kłamliwe sprawozdanie o Ameryce i przez to zwabił mnie tutaj, to nie zostawiłbym na nim, ani jednej całej kosteczki.

— Nie potrzebował pan przecież tu taj przyjeżdżać, nikt pana o to nie prosił — drwiła pani Biedermann.

— To była nieszczęśliwa godzina, w której zdecydowałem się tutaj przyjechać — rzekł rudy rozpaczliwie — Gdybym został w ojczyźnie oszczędziłbym sobie zmartwień i pieniędzy.

Byłby jeszcze dłużej narzekał, ale w tej chwili stanęła przed domem dorożka, a z niej wysiadła Zuzia i jakiś młody, przystojny pan.

Młoda kobieta miała na sobie swoją najpiękniejszą suknię i rozmawiała wesoło ze swoim towarzyszem.

Mayer zacisnął pięście.

— Nie wiem, co począć w swej biedzie — mruknął, czerwieniąc się ze złości — a ona urządza mi jeszcze kawały.

Otworzył okno i zawołał na Zuzię.

— A może ty przyjdziesz do mnie — odcięła mu się miła żoneczka drwiąco — chyba, że jesteś już za stary i trudno ci przybiec.

Dwoma susami znalazł się Mayer przy Zuzi i wciągnął ją do oberży

W rozpaczy swej Zuzia oglądnęła się za swoim towarzyszem, ale temu nie uśmiechało się borykanie z Mayerem. Wskoczył szybko do dorożki i odjechał.

Zrobiło się zbiegowisko i powstał okropny śmiech na widok Mayera, szamocącego się z Zuzią.

Gdy w pokoju Mayer zamknął drzwi zwrócił się do żony z miną, która nie wróżyła nic dobrego.

Zuzia usunęła się trwożnie w najodleglejszy kącik pokoju i krzyczała:

— Nie tykaj mnie, bo otworzę okno i będę krzyczała, że mnie zabijasz.

— To złe sumienie napełnia cię strachem — syknął ponuro. — Gdybyś nie była przeciw mnie ciężko zawiniła, nie bałabyś się mnie tak okropnie.

Widząc pozorny spokój swego męża, uspokoiła się.

— Nic złego nie zrobiłam — odparła dumnie. — Pojechałam tylko na spacer z hrabią Bärensprungiem, więc cóż w tym złego? Powinieneś być dumny z tego, że hrabia zainteresował się mną.

— Dziękuję za ten honor — odciął Mayer ostro — a teraz możebyś była tak dobra powiedzieć mi, w jaki sposób poznałaś się z nim.

Przecież jechał z nami na jednym okręcie do Ameryki — odparła Zuzia.

— Jak ty go mogłaś w podróży zapoznać — badał Mayer — kiedy on z pewnością miał miejsce w pierwszej klasie?

— Ależ nie — przerwała mu Zuzia — jechał z nami na średnim pokładzie i wyglądał jak staruszek, gdyż miał na głowie siwą perukę i nosił duże okulary. Ucharakteryzował się tak, aby zmylić czynności swoich prześladowców.

— Może coś ukradł? — zapytał Mayer szyderczym tonem.

— Co znowu! — oburzyła się Zuzia — taki wielki pan ma dosyć własnych pieniędzy. Ściągnął on tylko na siebie gniew cesarza i dlatego musiał uciekać.

— Dobrze — rzekł Mayer — ale w jaki sposób on cię tutaj znalazł?

— Przechodził i zobaczył mnie zapłakaną w oknie — odpowiedziała Zuzia. — Żal mu się więc zrobiło, że byłam taka samotna i zabrał mnie ze sobą na przechadzkę. Czy widzisz jeszcze coś złego w tym?

— A więc wierzę ci — odpowiedział Mayer — ale teraz pakuj szybko nasze rzeczy, bo natychmiast opuszczamy Nowy York.

Ta wiadomość spadła na Zuzię, jak grom z jasnego nieba.

— Co? — krzyknęła z furią — mam odjechać właśnie teraz, gdy mi się zaczyna tutaj podobać? Jutro chce mnie hrabia zawieźć do teatru. Nie, ja tutaj zostanę.

Nie odzywając się więc Mayer, zaczął sam pakować kufry, potem zamknął je je na klucz i zawołał murzyna, który u Biedermannów pełnił funkcję dozorcy domu.

— John!

Murzyn zjawił się zaraz.

— Dorożkę! — rozkazał Mayer.

— Czy ją zapłacisz? — badała Zuzia.

— To moja rzecz! — odpowiedział Mayer gniewnie.

Potajemnie sprzedał on jedno z swoich ubrań, aby nie być bez centa.

Gdy dorożka zajechała, rudy wziął największy kufer na swoje barki i zniósł go na dół. Murzyn, widząc to, porwał drugi kufer i pobiegł za nim tak prędko, jak tylko pozwalały mu na to jego cieńkie nóżki.

Postawiwszy kufer w dorożce, wrócił Mayer do pokoju, w którym siedziała nadąsana Zuzia.

— Czy pójdziesz dobrowolnie ze mną? — zapytał — bo jeżeli nie, to załatwię się z tobą krótko.

Z obawy przed tym skandalem Zuzia udała się posłusznie za mężem, ale gdy schodziła ze schodów w duszy jej zbierała się nienawiść i wściekłość na męża.

Mayer rzucił woźnicy nazwę dworca i wsiadł z żoną do dorożki, która odjechała we wskazanym kierunku.

Gdy tylko powóz ruszył, Biedermann wyjął z szuflady kartkę i napisał na niej:

— „Powietrze oczyszczone".

Następnie skreślił adres i kazał Johnsonowi zanieść kartkę do skrzynki.

Gdy Mayerowie przybyli na stację kolejową dowiedzieli się, że pociąg którym mają odjechać, wyrusza dopiero wieczorem, i że mają jeszcze pięć godzin czasu.

— Mogliśmy jeszcze zostać w oberży — burczała Zuzia.

— Wszystko jedno, gdzie czekamy — odpowiedział Mayer gniewnie.

Nie spuszczał on oka ze swej żony i spostrzegł, ze źle tajoną złością, jak spoglądała na wszystkich i ile przychylnych spojrzeń padło z oczu tych panów na Zuzię.

Nie trwało długo, a podszedł do niej jakiś wysoki i elegancko ubrany Amerykanin i przemówił do niej po angielsku.

Skinęła głową i odpowiedziała mu z uśmiechem, że nie rozumie po angielsku.

Odezwał się więc do niej twardą, łamaną niemczyzną, którą Zuzia dziwnie dobrze zrozumiała.

Gawędził z nią swobodnie, nie dawszy się zbić z tropu gniewnymi spojrzeniami Mayera.

Zuzia podobała mu się bez wątpienia, bo po pewnym czasie zamówił dla niej drogie napoje orzeźwiające i różne potrawy. Zuzia chciała przyjąć tę uprzejmość bez ceremonii, ale Mayer odsunął jej talerz z przed nosa i głośno krzyknął:

— Nie weźmiesz ani kęsa z tego, jeżeli jesteś głodna, to sam ci coś zamówię.

— A cóż to pana obchodzi, że chcę zrobić przyjemność tej pani? — spytał pogardliwie Amerykanin.

— Bardzo wiele mnie to obchodzi — krzyknął Mayer — bo jestem mężem tej pani.

Nie długo to już potrwa, mój drogi — myślała Zuzia — byłabym idiotką, gdybym jeszcze dłużej znosiła tyranię tego brutalnego człowieka.

— Niech się pani nie daje maltretować — buntował Amerykanin Zuzię — jesteśmy, Bogu dzięki, w kraju, gdzie kobiety nie są niewolnicami swoich mężów.

— Proszę nie zabierać w tej sprawie głosu — bronił się Mayer. — Jak pan jeszcze jedno słowo powie, to zbiję pana na kwaśne jabłko.

— Gbur! — syknął Amerykanin szyderczo.

Ale w następnej chwili już pożałował tego powiedzenia, bo rudy schwyciwszy szklankę, która stała obok niego, rzucił nią tak silnie Amerykanina w głowę, że ten padł oszołomiony na ziemię.

Kilkanaście par rąk chwyciło rudego, aby go wstrzymać od dalszych brutalności, ale on powalił pięścią o ziemię człowieka, który stał najbliżej niego i utorowawszy sobie szturchańcami drogę w tłumie, dostał się do drzwi.

Wychodząc z sali rzucił trwożne spojrzenie za siebie i szukał wolnej drogi, jak jeleń, goniony przez wyjącą zgraję psów.

Pewna młoda murzynka, która przypatrywała się bójce, zlitowała się nad Mayerem i dała mu znak głową. Początkowo rzucił jej nieufne spojrzenie, ale gdy wyczytał szczere współczucie w jej błyszczących oczach, pobiegł za nią do jakiejś komórki, gdzie było dużo różnych naczyń drewnianych i kuchennych odpadków.

Schowawszy tam Mayera, zamknęła komórkę na klucz i wsunęła go do kieszeni.

Był to już najwyższy czas, gdyż w tej chwili wybiegło z dworca wiele ludzi, a kilku z nich zapytało murzynkę:

— Czyś nie widziała przypadkiem pana, który przed nami wybiegł z restauracji?

— Wysokiego, silnego mężczyznę z rudą brodą? — spytała murzynka ciekawie.

— Tak, tak! — zawołało kilkanaście



Zdjęcie z ogrodu zoologicznego w Berlinie, przedstawiające sześć lwów i ich pogromcę.

głosów.

— W niebieskiej kamizelce? — zapytała znów murzynka.

— Skończ już z tą jego kamizelką! — niecierpliwił się jeden z mężczyzn i powiedz nam w którą stronę ten człowiek pobiegł?

— Ot tam, w tę małą uliczkę — krzyknęła murzynka, wskazując ręką na zachód — biegł tak prędko, żem go za chwilę straciła z oczu.

— Czy pobiegniemy za nim? — spytał jeden z panów.

Drugi z nich popatrzył na zegarek.

— Przekleństwo! — zawołał — za 5 minut odchodzi mój pociąg, ja nie mogę.

— I ja nie! — rozległy się inne głosy.

Wszyscy prześladowcy wrócili spokojnie do poczekalni.

Podczas tej krótkiej, a burzliwej sceny Zuzia nie ruszała się z miejsca. Nie okazywała najmniejszego współczucia dla swego męża i myślała tylko o swym własnym bezpieczeństwie.

Przypatrywała się teraz ciekawie jak wsiadano do odchodzącego pociągu, jak nowi podróżni wchodzili do poczekalni, i tak była zatopioną w obserwacji tego, co się wokoło niej działo, że nawet nie słyszała cichego głosu, który do niej przemówił.

Aby zwrócić uwagę Zuzi, położyła mówiąca osoba swą rękę na jej ramieniu, poczem dopiero piękna kobieta odwróciła się i zobaczyła młodą murzynkę.

— Czego chcesz? — spytała ją ostro i nieuprzejmie.

— Niech pani idzie ze mną. Mąż czeka na panią — odpowiedziała murzynka, pokazując swe białe zęby.

Zuzia podniosła się niechętnie z krzesła i poszła za swoją przewodniczką do komórki, w której znajdował się Mayer.

Spotkanie małżonków było bardzo chłodne.

— Całą tę przygodę mam do zawdzięczenia tylko tobie — zburczał ją Mayer.

— No, jeżeli nie chcesz, aby na mnie nikt nie spojrzał, to zamknij mię gdzieś i nie wypuszczaj w świat! — odpowiedziała Zuzia rozdrażniona.

Pogrążyli się oboje w ponurym milczeniu i odetchnęli trochę wtedy, gdy nadszedł długo oczekiwany pociąg.

W wagonie ogarnął młodych małżonków zdrowy sen.

W miłych marzeniach zbliżali się do nowej, a nieznanej ojczyzny.

ROZDZIAŁ CXVII.

Prezent ślubny Mali

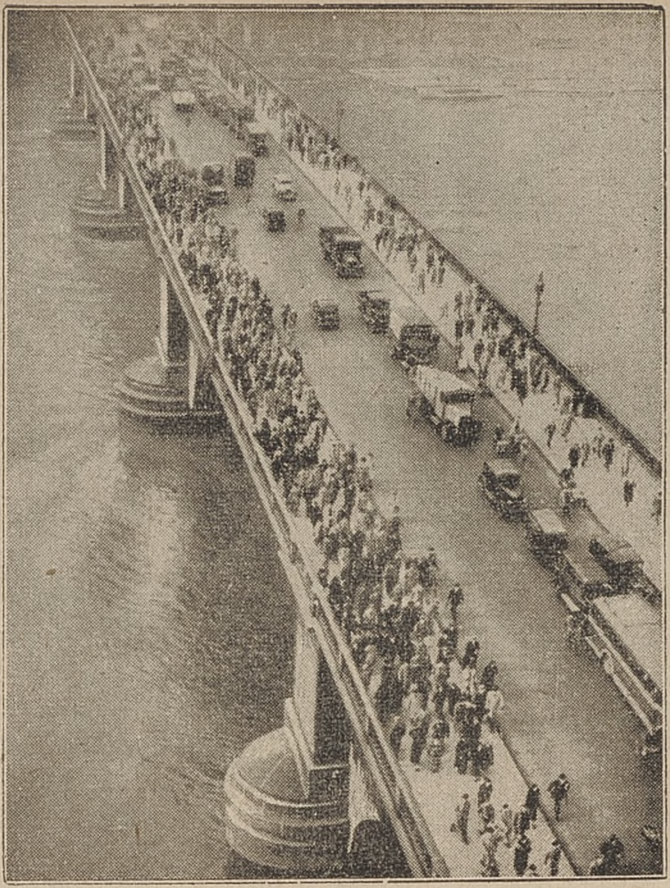
Sturmfeder, pod nazwą Cohena, zwabił Sylwię do domu obłąkanych i skazał ją na nową udrękę. Nietrudno odgadnąć, że to baron Egon.

Triumfował on teraz, że udało mu się umieścić swoją ofiarę w domu obłąkanych. Nakłamał doktorowi Silasowi tak po mistrzowsku, że ten uwierzył we wszystko i Egon mógł być pewnym, że jego łotrowski czyn, nie wyjdzie tak prędko na jaw.

Liczył on na to, że gdy Silas po kilku tygodniach spostrzeże, że Sylwia jest w zupełnie normalnym stanie, to nie wypuści jej już na wolność w swym własnym interesie, bo nie zechce ściągać na siebie kary, którąby go czekała za to, że więził w swym zakładzie osobę zdrową umyślnie.

Baron sam tak się zabezpieczył, że nie można go było pociągnąć do odpowiedzialności. Ani Janka, ani Silas nie przeczuwali bowiem, że stary Cohen, a elegancki, młody baron Sturmfeder byli jedną i tą samą osobą. Niech sobie później szukają Ismara Cohena! To już mało obchodziło barona.

Wkrótce po załatwieniu sprawy z Sylwią Egon wyjechał do Königswalden, najzupełniej zadowolony ze swego dzieła.



Londyński Związek Autobusowy urządził w tych dniach strajk, co spowodowało, że wszyscy pracujący byli zmuszeni udać się pieszo do pracy. Oto fragment Londyn — Bridge — dzielnicy Londynu, wczesnym rankiem.

Wypocząwszy trochę w domu pojechał do swojej narzeczonej.

Hrabianka Ada przyjęła go trochę nadąsana i zapytała:

— No, kiedy znów odjedziesz i dokąd?

— Następna moja podróż, będzie już podróżą poślubną do Włoch — odparł Egon z promieniejącą miną, — naturalnie, jeśli słodka narzeczona nie zmieni ułożonego planu.

Popatrzał na swą piękną narzeczoną z zachwytem i dodał:

— Myślałem zawsze, że ty już nie możesz wypięknieć, ale się omyliłem, bo wypiękniałaś jeszcze w czasie mej nieobecności.

Rzuciła badawczy wzrok do lustra i pomyślała zadowolona:

— Środek Mali pomógł.

Napawała się jego pochlebstwem.

Hrabina Dornbruch leżała bezsilna i wycieńczona w wspaniałym fotelu, ale mimo, że choroba jej budziła poważne obawy, jej oczy błyszczały radośnie, gdy patrzyła na młodą parę.

— Wprawdzie brak Ady odczuję bardzo, ale pocieszę się myślą, że ją oddaję w dobre ręce — rzekła słabym głosem. Wreszcie rozłąka nie potrwa długo, bo jak wrócicie, spędzimy razem zimę w naszym pałacu we Wiedniu.

— Oczywiście, tylko to fatalne, że spadek mego wuja nie został mi jeszcze oficjalnie przyznany — żalił się Egon — i że dlatego będę narazie zdany na łaskę moich szanownych teściów.

— To przecież nie długo potrwa — pocieszała go hrabina Dornbruch. — Zresztą proszę się nie martwić, bo wszystko co należy do Ady, należy i do pana.

— Jest pani zawsze anielsko dobra! — zawołał Egon, całując przezroczystą rękę chorej damy.

— Czy słyszał już pan o zagadkowym zniknięciu pięknej leśniczanki? — zapytała hrabina.

— Nie, jeszcze nic nie słyszałem! — zapewniał Egon niewinnie.

— Znikła onegdaj w tajemniczy sposób — informowała hrabina. — Żałuję jej biednych rodziców. Są podobno nie pocieszeni w żalu.

— To jest okropna zarozumiałość ze strony tych ludzi, że nie oddali dziewczyny w służbę, jak tylko dorosła! — rzekła rozgniewana Ada. — Ta zarozumiałość zemściła się teraz na nich, bo gdyby dziewczyna służyła i ciężko pracowała, nie byłaby wpadła na taki pomysł. Mogłabym się założyć, że w tej chwili bawi się z jakimś amantem w Dreźnie lub Wiedniu.

— Ależ, Ado, tak przypuszczać nie można — rzekła z wyrzutem hrabina — widziałam tę dziewczynę kilka razy i zawsze robiła na mnie bardzo dobre wrażenie. Gdybym potrzebowała towarzyszki, to wzięłabym ją od razu, naturalnie, gdyby taką posadę przyjąć chciała.

— Zresztą nie młóćmy pustej słomy! — przerwała jej Ada — bo po pierwsze, ta osoba jest już za górami, po drugie, mamie nie potrzeba żadnej towarzyszki, a po trzecie żebracza duma tego głupiego stworzenia nie zezwoliłaby jej przyjąć służbę. Mówmy lepiej o czymś bardziej zajmującym.

Zaczęto więc rozmawiać o bliskim już weselu, a hrabina wtrąciła, że wieczorem spodziewa się gości.

Podczas, gdy beztrosko rozmawiali, Mala stała za portierą drzwi i nie uroniła ani jednego słówka z całej konwersacji. Niewinne pytanie Egona o Sylwię zastanowiło ją, gdyż spostrzegła dziwne zmieszanie w oczach barona i coś, jakby poczucie winy.

Bez szmeru wysunęła się zza portiery, rzuciwszy na odchodnem nienawistne spojrzenie swemu dawnemu kochankowi. Wsunęła się cicho do swojej izdebki i usiadłszy przy stole napisała na arkuszu papieru dużymi literami:

„Baron Egon Sturmfeder wykradł państwu córkę“.

Gdy wszyscy na zamku już zasnęli, zbiegła na dół jakaś zasłonięta postać kobieca schodami, prowadzącymi z pokojów dla służby, odsunęła rygiel bocznej furtki i pobiegła szybko w stronę leśniczówki.

Przybywszy na miejsce wyjęła kartkę z kieszeni i przymocowała ją czterema małymi gwoździkami do frontowych drzwi.

Psy wyły i szczekały, ale uspokoiła je szybko, rzucając im kawał kiełbasy. Skończywszy swoją robotę, która trwała kilka sekund, postać pobiegła tą samą drogą do zamku.

Wróciła szczęśliwie do pokoiku i odetchnąwszy ciężko, rzuciła się na krzesło, by spocząć.

Następnie ułożyła się do snu.

Tymczasem nadchodziły dwa uroczyste dni dla mieszkańców zamku Dornbruch: wieczór dziewiczy i dzień ślubu młodej hrabianki.

Wprawdzie chora hrabina wyjawiła życzenie, aby uroczystości ślubne odbyły się tylko w najściślejszym kółku rodzinnym, ale natrafiła na energiczny opór ze strony swej próżnej córki.

Zaproszono więc na te dwie uroczystości dość liczne grono gości.

W dzień ślubu Ada włożyła na siebie toaletę z białego aksamitu, która wspaniale zdobiła smukłą i proporcjonalną postać pięknej „panny młodej“.

— Jakże Ada jest dzisiaj piękną — myślał Egon, stojąc z swoją narzeczoną przy ołtarzu, a wzrok jego spoczął na jej czarującej postaci.

Prawie, że nie słyszał słów księdza. Mechanicznie odpowiadał na jego zapytania — nagle drgnął cały.

Błędny jego wzrok padł na postać kobiecą, stojącą naprzeciw ołtarza na chórze i spostrzegł, że jej piękne, ciemne oczy nie odwracały się od niego. Była to Mala.

Opanował go śmiertelny strach na myśl, że ona może wejść mu w drogę i przeszkodzić w ceremonii ślubnej.

Gdyby na przykład teraz krzyknęła ochrypłym i przeraźliwym głosem:

— Ten człowiek przysięgał mi miłość i wierność do grobu. On jest mój, bom mu się oddała całą duszą i ciałem.

Byłby to oczywiście skandal w wielkim stylu, a hrabianka Ada Dornbruch na pewno by go pogardliwie odtrąciła.

Wprawdzie Ada jest już prawnie jego żoną, bo ślub cywilny już się odbył, ale, czy to przeszkodziłoby jej odwrócić się od niego i rozłączyć się z nim na wieki, w dzień, w którym się miała z nim połączyć na zawsze.

Obawa ta wywołała zimny pot na czole Egona. Co chwilę spodziewał się katastrofy. Miecz Damoklesa wisiał nad jego głową i sprawiał męki piekielne.

Ciąg dalszy na stronie 397.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

POWITAM NAPEWNO ŻYCZLIWIE

„Nelli". Dobre, serdeczne słowa Pani przypłynęły do mnie ciepłą, szeroką falą. Jestem dotąd pod ich wrażeniem i pod tym wrażeniem uśmiecham się do Pani, a może lepiej do — „Nelli", bo to brzmi milej, prawda?

Czekam na Ciebie, Droga Dziewczynko i powitam napewno życzliwie, gdy zjawisz się w redakcji.

„Post scriptum" Twoje zamieszczam:

„Dzinko", ślicznie dziękuję za pozdrowienia i wzamian ślę moc całusów. Proszę, napisz do mnie parę słów.

„Kujawianko", chciałabym mieć w Pani towarzyszkę wiosennych spacerów. Jestem również Torunianką. Pozdrawiam i czekam na jakiś znak.

P. J. P. Płóciennik! Ślę Panu uznanie za wiersz: „Wołanie" i zarazem łączę miłe pozdrowienia.

Równocześnie pozdrawiam „Przedwiośnie", „Boluś", „Igę Czarnobrewę", „Nr. 703" i „Młodego Sympatyka".

„MAM OCHOTĘ NAWIĄZAĆ KORESPONDENCJĘ"...

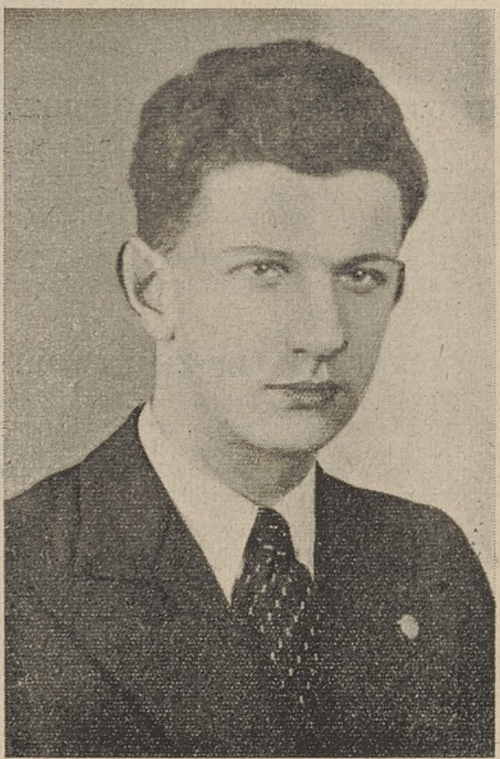
„Biała Różyczka" jest świeżą Czytelniczką „Moich Powieści". Zainteresowała Ją żywo „Kraina", dlatego też wnosi następujący apel:

„Mam ochotę nawiązać z kimkolwiek z „Krainy" nić korespondencyjną. Jestem Wielkopolanką, ciemna blondynką o dużych, smętnych oczach. Jestem zwolenniczką książek i lubię się bawić. Zasyłam wszystkim Nieznanym pozdrowienia i oczekuję pierwszych wiadomości".

NA POSTE - RESTANTE

Bardzo sympatyczny Wielkopolanin, pełen werwy i humoru, chętnie nawiąże korespondencję z miłymi Czytelniczkami „Moich Powieści".

Listy prosi kierować na poste — restante, Wągrowiec (Pozn.), dla „Oneczka".



„Młody Orzeł" przedstawia się dzisiaj „Krainiakom" na zdjęciu i śle Im przyjazne uściski dłoni.

„UŚMIECH JEST RZECZĄ NIEZBĘDNĄ W ŻYCIU"...

„Simpson". Zmartwienie Pani było zbyteczne, bo nie myślałam o Pani tak źle, jak to się Pani wydawało. Pseudonim swój może Pani zachować nadal, gdyż nie potrzebuje on koniecznie Panią charakteryzować. Zresztą, to będzie zależało już od Pani, czy wybrać sobie nowy pseudonim, czy też pozostać przy starym.

Ujmująca jest Pani pogoda — w nadesłanym liście jest pełno, ot, choćby w tych słowach:

„Mieszkam w małej, nudnej mieścinie, ale mimo to nigdy nie narzekam. Posiadam dwie kochające siostrunie i braciszka. Czwórka nasza żyje w największej harmonii i nawzajem urozmaica sobie życie. Nieraz jest tak wesoło i głośno, że Rodzice zastanawiają się, czy rzeczywiście jesteśmy już dorosłymi, a nie kilkuletnimi urwisami. Ja jednak uważam, że uśmiech, jest rzeczą niezbędną w życiu, a śmiech głośny i szczery zawsze przyjemniejszy od łez. Nie radzę też nikomu naczczo płakać i narzekać, bo to tylko psuje cerę na cały dzień i odbiera apetyt"...

Brawo! Miła „Simpson"! Robisz rozsądnie i dobrze, biorąc życie na wesoło. Radzę innym pójść w Twoje ślady! Na pewno tego nie pożałują!

Dla Sympatyków od „Simpson":

„Mały Stasiu", czy Pan jest na prawdę taki mały i brzydki? Proszę pokazać się nam na zdjęciu, a osądzimy. Ślę moc pozdrowień i czekam.

„Merle", znasz mnie już prawda i wiesz kim jestem? Całuję Ziutę i Ciebie!

„Mignon", dziękuję za pozdrowienia i odwzajemniam je".

DOBRZE JEST CZASEM SPEŁNIĆ CZYJEŚ MARZENIE...

„Zdobywca Serc II". Pomimo, że otrzymuję codziennie dziesiątki listów, nie zapominam jednak osób, które chociaż raz napisały do mnie. Pod tym względem pamięć mnie nigdy nie zawodzi. Zbyteczne więc były obawy Pana, prawda?

Pisze Pan, że nie otrzymał jeszcze listu, o którym serce wciąż marzy, ale wierzy, że kiedyś liścik ten nadejdzie. I ja wierzę, że to nastąpi, zwłaszcza, gdy miłe panie przeczytają powyższe słowa. Dobrze jest czasem spełnić czyjeś cichutkie marzenie — Sympatyczki „Krainy" chyba o tym wiedzą bardzo dobrze?

A teraz kilka słów od „Zdobywcy Serc II":

„Hallo! „Wymarzona"! Czy znajdziesz chwilkę czasu, aby skreślić do mnie kilka słów? Czuję się bardzo samotny i tak potrzebuję czyichś dobrych słów!"

POLECIŁAM ZAMIEŚCIĆ REDAKCJI I. K. P.

P. H. K. Toruń. Reportaż Pani z wycieczki na Kasprowy Wierch, poleciłam zamieścić redakcji I. K. P. Numery autorskie — wyślemy!

A teraz kilka słów á propos listu Pani. Przede wszystkim muszę podziękować Pani za szczerość i zaufanie. Czuję, że ostatnio sympatia moja do Pani bardzo się pogłębiła. Złożyło się na to wiele: owa szczerość, o której wyżej wspominam, charakter Pani który zdążyłam już poznać bliżej, oraz szlachetne ustosunkowanie się Pani do życia. Proszę Panią gorąco o podtrzymywanie dalszego kontaktu korespondencyjnego ze mną, pozdrawiam Panią i na zakończenie jeszcze kilka Pani słów:

„Bajko", serdecznie dziękuję za miłe słowa i uznanie za wierszyk. Może się jeszcze kiedyś odezwiesz?

P. M. Grzegorski! Zdjęcie Pana, które było zamieszczone w „Krainie" spoczywa również i w moim albumie. Ciekawe to — ale proste, bo ta „Lenka z Gdańska", która pisała do „Trubadura" i ja, to jedna i ta sama osoba. Dziwne spotkanie, prawda?"



„Kameleon II", gorąca zwolenniczka „Moich Powieści", przesyła wszystkim Czytelniczkom pozdrowienia ze Śremu.

JAK NAJSERDECZNIEJ DZIĘKUJĘ!

„Przedwiośnie". Znowu liścik „Przedwiośnia"! Dziękuję, jak najserdeczniej dziękuję za tę częstą pamięć! I cieszę się ogromnie, że urok wiosny niweluje powoli smutek Twego serduszka! Pierwsze kwiaty i zielone trawki zbudziły wprawdzie jeszcze w Twojej duszy smutne wspomnienia, ale widok powracających ptaków przyniósł nadzieję i wiarę w lepsze życie. Oby ta wiara ziściła się! — życzę bardzo szczerze i ściskam Kochanemu „Przedwiośniu dłonie.

Dotyczy Sympatyków:

„Dziękuję „Tartukowi" za zainteresowanie się moją osobą, lecz narazie nie mogę napisać listu, z powodu egzaminów. Uczynię to jednak chętnie — później!

Miłe pozdrowienie załączam dla „Czeremchy" i „Niebieskookiej Zinki".

NIE!...

„Wacusiewicz". Czy na fotografii zamieszczonej w nr. 10. — rocznik I., znajduje się pani?" — Nie! Fotografii mojej nie było jeszcze w „Moich Powieściach", a czy w ogóle będzie — okaże najbliższa przyszłość.

Wskazówki praktyczne — przekazałam redakcji „Mojej Przyjaciółki".

Powieść „Nienawiść a miłość" pociągnie się jeszcze kilka miesięcy i pewna jestem, że będzie ona Pana nadal absorbowała tak, jak dotychczas. Fotografię Pana zamieszczę już w najbliższych numerach. Łączę serdeczny uścik dłoni i prośbę o dalszą pamięć.

„MOIM CICHYM ŻYCZENIEM"...

„Wędrowna Chmurka". Z serdecznym życzeniem, aby korespondencja przyniosła Pani dużo zadowolenia, oddaję liścik Pani do przedruku:

„Życie moje jest ciężkie, ale nie skarżę się i nie narzekam. Czasem trudno mi być pogodną, ale mimo to uśmiecham się do świata i ludzi. Moim cichym życzeniem jest otrzymać od kogoś szczery i miły list. Czekam na niego i pozdrawiam serdecznie wszystkich „Krainiaków".

WIERSZYK WYPADŁ SŁABO

„Romantyczny Śpiewak“. Prośby Pana, niestety, spełnić nie mogę, gdyż wierszyk wypadł słabo. Zapewne następny będzie lepszy?

Część listu, przeznaczonego dla Sympatyków, zamieszczam i dziękuję Panu za ujmujące słowa uznania.

„Halo! Może napisze do mnie „Smutny Sztubak“, „Brunet z Pałuk“ lub „Jedna z wielu“ i „Królewna Mary“?

P. Grzegorskiemu z Sosnowca dziękuję za miły liścik.

P. J. Ob. Kraków zasyłam serdeczne pozdrowienia. Za list dziękuję. Nowelkę wysłałem.

Pozdrawiam również „Smutną Sztubaczkę“, „Dzinkę“, „Słodką Danuś“, „Stellę Maris“, „Bolusia“, „Samotnego Sfinksa“, „Erosa“ i „Cztery Miłe Łobuziaki“, oraz „Krainiaków“ z Grabowa n. Prosną, w którym to mieście kiedyś zamieszkiwałem.

Całej „Krainie“ zasyłam serdeczne pozdrowienia i oczekuję nadal miłych listów, które proszę kierować na poste - restante, Gąsawa pow. Żnin, dla okaziciela dyplomu nr. Pers. 831/I — 207/I“.

KTO WIE?...

„Duśka“. Słowa życzeń Pani padły na mą duszę, jak ciepły odblask słoneczny. W słowach tych znalazłam potwierdzenie, że pamięć Pani o mnie jest nadal wierną i wdzięczną. Serce moje wypełnia więc radość i szczęście, że Ci, którzy przyrzekli mi przyjaźń, dochowują mi jej skrupulatnie.

Znalazłam także w liście Pani dużo smutku i cichych skarg.

„Czuję się, jak ptak zagnany losem w pustkę monotonnych pól... Nikt w moją tęskną duszę nie zagląda, więc jest smutna, tęskna i samotna...“

Żale Pani mimowoli chwytają za serce. Chciałabym Ci pomóc, „Dusiu“, ale trudno mi to uczynić, skoro Tobie nie udaje się samej zmienić tej swojej „stepowej“ natury. Już w pierwszym Twoim liście do mnie odkryłam cichą nutę tęsknoty, w następnych listach nuta ta była mi zawsze znajomą, a w ostatnim liście brzmi niezmieniona, po dawnemu. Rozkładam bezradnie ręce, „Dusiu“ — ha, trudno, wrodzonej tęsknoty widocznie nic nie stłumi, a może?... Gdy ktoś zajrzy w duszę „Duśki“?... Kto wie, czy kiedyś wielka tęsknota nie okupi szczęścia, kto to wie, czy nie warto mocno tęsknić?...

Zasyłam Kochanej „Duśce“ dużo uścisków i udzielam Jej na zakończenie głosu:

„Ryśko D.“ — dziękuję za książkę i zasyłam pozdrowienia:

„Dziewczę z dalekiej Ojczyzny“ — owszem, ucieszę się Twym liścikiem, tym bardziej, że wydajesz mi się bardzo bliską.

„Słodka Gildo“ — przyjm moc uścisków. Napiszę do Ciebie na pewno, tylko jeszcze nie teraz. A może Ty się zdecydujesz na pierwszy krok?

„Armido“ — nie omyliłaś się, gdyż moje siostry istotnie tak się nazywają. Kto jesteś — nie domyślam się, może więc zdradzisz mi swoje nazwisko?

„Elżuniu z Torunia“ — już trzy razy byłam u Ciebie, lecz nigdy Cię nie zastałam. Spróbuję jeszcze raz szczęścia!

„Te — Em“ — ślę mocny uścisk dłoni za tyle serca. Czy mogę poprosić chociaż o maleńki wierszyk?

„Dziewczynce w mundurku“, „Zaczarowanej Cyganeczce“, „Maleńkiej Dorrit“, „Szarotce“ i „Rozpieszczonej Kotce“, „Uśmiechowi“, „Leszkowi z Zielonej Doliny“ i „Romantycznemu Śpiewakowi“ — bardzo, bardzo dziękuję za pozdrowienia.

„Latorośli Kaszubskiej“, „Sercu Sterów“ i „Echu Wsi“ — zasyłam dużo promiennych uśmiechów“.

„NA KAŻDY LIST ODPOWIEM OBSZERNIE I CIEKAWIE!“

„Zadumana Bajka“. Z listu Pani widzę, że „Moje Powieści“ zyskały sobie w Pani gorącą zwolenniczkę, a „Kraina“ nową entuzjastkę i sympatyczkę. To ostatnie cieszy mnie szczególnie gdyż powodzenie „Krainy“ to moja największa satysfakcja w pracy.

Ślę Pani przyjazny uścisk dłoni i niżej podaję treść listu Pani:

„Chciałabym koniecznie znaleźć kogoś miłego, z którym mogłabym korespondować na wszystkie tematy. Może więc znajdzie się ktoś taki i zechce napisać do mnie?

Pasjami lubię pisać listy i pragnę wymieniać myśli z kimś inteligentnym. Interesuje mnie literatura — dużo czytam. Jestem bardzo wesoła, lubię taniec i muzykę. Proszę więc bardzo napiscie do mnie, a nie pożałujecie! Odpowiem na każdy list obszernie i ciekawie!“

„TO CHYBA POMYŁKA?“...

„Janka z Pelplina“. Bardzo zadowolona, że udało się Pani nawiązać miłą korespondencję, ściskam Pani mocno dłonie i zamieszczam „post scriptum“ z listu Pani:

„Może znajdzie się wśród Czytelniczek lub Czytelników ktoś, który chodził lub dojeżdżał razem ze mną do Szkoły Wydziałowej w Pelplinie? O ile tak, proszę o jakąś wiadomość!

„Wesoła Wirciu“ i „Smutna Dzinko II“! Dziękuję Wam za pozdrowienia, które odwzajemniam uściskiem dłoni. Nie przypominam sobie Pań — to chyba jakaś pomyłka? Oczekuję dalszych wiadomości!

Serdeczne pozdrowienia zasyłam P. Bronkowi Ch. z G., „Brunetowi z Pałuk“ i „Romantycznemu Śpiewakowi“.



„Nell z Bydgoszczy“ posiada twarzyczkę o bardzo charakterystycznej urodzie, o czym mówi wyraźnie zamieszczona wyżej fotografia.

„LUBIĘ KORESPONDOWAĆ“...

„Wesoła Cyganeczka“ powiększyła obóz znajdujących się w „Krainie“ „Cyganek“. W pierwszym rzędzie przesyła Ona szczery uścisk dłoni „Cyganowi“, następnie „Dzikusce spod Warszawy“, „Jance z Pelplina“, „Smutnemu Geniowi“, „Nr. 703“ i „Rudiemu 220 — 380“.

Równocześnie „Wesoła Cyganeczka“ pisze: „Pragnęłabym nawiązać skimś kontakt korespondencyjny. Kim jestem? — Pomorzanką, ciemnowłosą i ciemnooką dziewczynką. Co lubię? Podróżować i korespondować. W związku z ostatnim proszę Sympatyków „Krainy“ o dużo, dużo listów. Czekam na nie z utęsknieniem“.

NIE POGNIEWAŁAM SIĘ

„Lucia — Szczebiotka“. Dziękuję serdecznie za pozdrowienia. Za krótki liścik nie pogniewałam się, bo wiem, że napisze Pani do mnie obszerniej, skoro tylko znajdzie chwilkę czasu. Prawda, że się nie mylę?

UJMUJE MNIE...

„Uwięziona Księżniczka“. Treść listu Pani nastroiła mnie pogodnie. Jak to pięknie, że już nie nudzi się Pani i że znalazła szczęście w korespondencji!

Ujmuje mnie stosunek Pani do „Wenaty“ — Wyobrażam sobie, jak ta smutna Dziewczynka, ucieszyła się Pani słowom...

Łączę moc serdeczności i prośbę o nowy liścik.

POSTARAM SIĘ

„Blondynka z nad Olzy“. Ofiarowaną mi przez Panią przyjaźń — przyjmuję i postaram się nigdy jej nie utracić. Za pozdrowienia z Ziemi Śląskiej — bardzo Pani dziękuję. Apel zamieszczam:

„Potrzebuję dobrych i ciepłych słów, a więc piszcie do mnie. Jestem osobą dość poważną, ale i pogodną. Reszta w listach!“

Teczka Wujka Janusza

LIST

Słowa — przelane na papier,
cóż więcej znaczą?
Pomyśl dziewczyno, czy warto
nad nimi —
rozpaczać?

Że ktoś chciał zapomnieć, co było,
że odszedł ktoś —
tak być — już miało...
Wszystko jest w życiu bajką,
gdy bajkę się tylko kochało.

Słowa przeminą na zawsze,
papier — pożółknie z czasem,
nie warto budzić — przeszłości,
wspomnieniem naszym!

Gdy się zapomnisz na chwilę,
a nie myśląc o niczym,
dziewczyno —
czemu tak nieświadomie
twe oczy łzami napłyną?

Choć boleść niby cierniem
głębokim utkwi w ranie —
pocóż — poddawać się chwilom,
smutkiem stroskanym?

Wystarczy spojrzeć w słonko,
w kwiaty przedwiośnia!
w łąk szmaragdowe kobierce...
Życie wyśpiewać skowronkiem,
„mieć serce — i patrzyć w serce...“

Józef Baranowski.

RADZĘ SPRÓBOWAĆ PISAĆ PROZĄ...

„Kiciątko“. Wiersze bardzo blade! Wyrok surowy, ale szczery. Radzę Pani porzucić rymotwórstwo, a spróbować pisać prozą. Może nowele lub felietony udadzą się Pani lepiej, niż wiersze.

Za nadesłane pozdrowienia dziękuję Pani jak najuprzejmiej i ściskam serdecznie paluszki.

CZEKAM NA LEPSZE UTWORY

„El“. Do druku wybrałem tylko „Moje szczęście“ — „Tęsknota“, „Przyjdź do mnie“ i „Dawne sny“ — są wierszami słabymi. Odsyłam je do kosza i czekam na inne utwory, lepsze. Łączę miłe pozdrowienia.

DO DRUKU NIE PÓJDĄ!

P. S. S. z K. Nowelki wogóle nie pogłębione — do druku nie pójdą! Zainteresował mnie Pan swoimi spostrzeżeniami. Może podzieli się Pan z nimi trochę szerzej ze mną? Będę Panu bardzo wdzięczny!

PRZYPUSZCZENIA ZAWIODŁY

„Willy“. Nie omylił się Pan, istotnie, jest to mój utwór. Co do „spraw sercowych“ — przypuszczenia zawiodły na całej linii. Mocno ściskam dłoń i pozdrawiam!

Raj kobiet

M 22449 Elegancki płaszczyk o nowej lekko kloszowej linii i małym, trójkątnym kołnierzyku. Potrzeba około 2.90 m. materiału 140 cm. szer.

M 22412 Sportowy płaszczyk z jasnej wełny z szerokimi rewersami i szeroką linią ramion. Ilość materiału około 2.85 m. szer. 140 cm.

S 22.452. Elegancki trzyćwierciowy żakiet — może być stosowany do spódniczki — tworząc kostium — jak również do poszczególnych sukienek. Potrzeba na spódniczkę 1.30 m. materiału, na żakiet 2.20 m. szerokości 130 m.

Powyższe kroje (Beyera) nabyć można w naszej administracji w cenie zł 2.— za sztukę.



M 22449 M 22412 S 22452

Parę nowinek dla Pani

Wszystko na świecie się zmienia, a najwcześniej i najszybciej moda. Włosy krótkie już straciły także łaskę i obecnie każda szanująca się modnisia zapuszcza wspaniałe warkocze, które potem ma zamiar owinąć naokoło głowy. W praktyce jednak okazuje się, że z owymi warkoczami jest trochę gorzej, że sprawiają one pani masę kłopotu i że — ani rusz nie sposób włożyć kapelusza. Wobec tego odrośnięte włosy zwija się w loki tak, aby wyglądały jak krótkie. No czyż to nie jest zabawne?

* * *

W wiedniu odbyło się walne zebranie fryzjerów damskich, celem zdecydowania mody na fryzurę damską na rok 1936-37. Fryzjerzy wiedeńscy wypowiadają się za spuszczeniem przez panie włosów w ten sposób, aby kark był zasłonięty, zaś przy rozjaśnianiu włosów za wprowadzeniem odcieni.

DOBRA GOSPODYNI

Drobne ciasteczka fiołkowe. Oczyścić z korzonków garść świeżych, silnie pachnących fiołków. Ubić gęstą pianę z 2 białek, wymieszać ją z 200 gr na białym papierze, wysmarowanym woskiem; piec na białym papierze, wysmarowanym woskiem; piec je tak, jak marengi, to znaczy wstawić do letniego pieca, nie otwierając go, aż ciasteczka zupełnie wyschną.

Wyborne te ciasteczka podaje się razem z innymi drobnymi lub jako garnitur do bitej śmietany.

Ciastka śmietankowe. Ćwierć kg masła rozkruszyć z niecałym kg mąki, dodać jedną szklankę cukru, trochę wanilii i jedną szklankę śmietany. Cienko wałkować, wykrawać foremkami i piec, jak zwykle.

Kruche ciastka z cytryną. 25 dkg niesłonego masła, 35 dkg mąki, 20 dkg cukru, 6 dkg obranych migdałów zmielonych na masę, 1 jajko i sok z jednej cytryny zagnieść i wyrobić dobrze na stolnicy, a potem rozwałkować, wykrawać ciastka i piec, jak poprzednie.

„Wieczne" ciastka. Ubić 7 jaj, 37 dkg cukru, 12 migdałów parzonych. (mielonych), 1 dkg gorzkich, skórkę cytrynową i trochę cynamonu, wmieszać 50 dkg mąki, 12 dkg rozpuszczonego masła i kłaść łyżką małe kluseczki na smarowaną blachę, okrągło je przy tym formując. ostawić je przez noc w ciepłej kuchni, żeby dobrze stężały. Nazajutrz upiec. Można je przechowywać bardzo długo, a nie tracą smaku.

Krajanki miodowe. Pół szklanki miodu i tyleż cukru zagotować, mięszając ciągle i gotującym zalać 40 dkg mąki, dodać 1 jajko, łyżeczkę sody czyszczonej oraz różnych korzeni. Wyrobić dobrze, wywałkować, przekroić na dwa placki, jednym z nich wyłożyć posmarowaną blachę, nałożyć nadzianiem, umieszanym ze słodkiej marmelady i siekanych bakalii (fig, daktyli i orzechów), przykryć drugim plackiem i upiec. Po ostudzeniu krajać w niewielkie prostokąciki.

Tajemnicza kobieta na Placu Zgody w Paryżu

Na placu Zgody w Paryżu, na ławce plecami do Sekwany, a twarzą do gmachu ministerstwa marynarki, usiadła pewnego rana we wrześniu ubiegłego roku zagadkowa kobieta. Miała na sobie zielony płaszcz, spódnicę w kraty, beret na głowie, okulary, czarne pantofle i białe skarpetki na nogach, rękawiczki na rękach, torebkę i parasol. Włosy rude. Od tego czasu nic się nie zmieniło w jej ubiorze prócz pantofelków, które są coraz elegantsze. Kobieta ta przyjeżdża codziennie rano, potem odjeżdża autobusem w południe, po południu przyjeżdża, odjeżdża o godz. 8 wieczorem. Nigdy nie zostaje na ławce w nocy. Jeśli jest zimno, rozgrzewa się, tupiąc nogami o ziemię. Jeśli ktoś rzuci jakiś żart lub pozdrowienie, uśmiecha się. Ale jeśli ktoś zbliży się do niej, wstaje i opiera się o balustradę nad Sekwaną, wpatrując się w wodę. Po tym siada znów i zapada w głębokie zamyślenie. Nie reaguje na nic, nawet na ciągłe okrzyki, które padają z ulicy, z autobusów i taksówek pod jej adresem.

W Paryżu nazywają ją „mademoiselle Zizi". Jeden z reporterów dziennika „Paris-Soir" postanowił zbadać tajemnicę tego żywego sfinksa. Gdy zastał ją siedzącą jak zwyczajnie na swojej ławce na placu Zgody, rozpoczął z nią rozmowę. Ale na wszystkie jego pytania tajemnicza kobieta w zieleni odpowiadała uśmiechem. Wtedy reporter postanowił zbadać jej życie. — O ustalonej godzinie 8-ej wieczorem wstała nagle z swojej ławki i przeszedłszy plac Zgody, zniknęła na chwilę pod arkadami ulicy Royale, po tym pojawiła się znów na placu. Stamtąd udała się bulwarem Madeleine, wzdłuż wielkich kawiarń. Przed jednym ze sklepów z obuwiem zatrzymała się, oglądając wystawę, po tym przed drugim sklepem z obuwiem. Buciki mają dla niej specjalny urok.

Potem ruszyła w stronę Opery i przeszedłszy plac Opery, znalazła się na bulwarze Capueines. Reporter szedł ciągle za nią. Naraz u wylotu rozdroża Richelieu - Drouot zielona kobieta znikła w tłumie. Reporter zorientował się jednak i znalazł ją w kurytarzu kolejki podziemnej w chwili, gdy wręczała jakiemuś biedakowi jałmużnę. Reporter wsiadł z nią razem do kolejki i zdołał dotrzeć z nią do jej mieszkania. Okazało się, że tajemnicza kobieta w zielonym płaszczu mieszka w 6-piętrowej kamienicy na przedmieściu Paryża. Jest to młoda dziewczyna, której rodzice są małymi funkcjonariuszami. Dla rodziców dziewczyna jest również zagadką. Zachowuje się spokojnie, ale jest milcząca i lubi samotne wycieczki. Nikt nie wie, dlaczego wysiaduje godzinami na ławce na Placu Zgody. Czy czeka na kogoś, czy przeżywa jakieś wspomnienie? Reporter nie chciał wdzierać się gwałtem w jej tajemnicze życie. Zagadka „zielonej kobiety", pozostała nadal sensacją Paryża.

Ze świata

Matka ks. Bernarda wychodzi za mąż

Dzienniki paryskie podawały niedawno wiadomość że matka ks. Bernarda, holenderskiego księcia — małżonka, księżna Armgarda zu Lippe-Biesterfeld, nosi się z zamiarem wyjścia za mąż.

Wybrańcem jej wdowiego od lat 5 serca jest podobno jeden z przebywających na emigracji oficerów carskiej armii, A. Panczulidzew, były pułkownik lejb-gwardyjskiego grodzieńskiego pułku huzarów stojących przed wojną załogą w Warszawie.

Pułkownik Panczulidzew, liczący obecnie lat 47 (?) jest doskonałym jeźdźcem i on to jakoby uczył ks. Bernarda sztuki jeździeckiej. Rezultatem tego zbliżenia się eks-gwardzisty carskiego do rodziny książąt Lippe-Biesterfeld będzie — jak dowodzą dzienniki paryskie — ślub jego z księżną wdową, matką młodego małżonka ks. Juliany holenderskiej.

Prasa paryska dodaje, że już na uroczystościach ślubnych w Hadze zwracała uwagę obecność niemłodego oficera ubranego w efektowny mundur carskiego huzara. Mundur ten podobno udało się płk. Panczulidzewowi z wielkim trudem skompletować.

Całe to doniesienie francuskich gazet brzmi sensacyjnie już choćby z powodu wieku owego pułkownika Panczulidzewa. Trudno bowiem przypuścić, aby 22-letni młodzieniec — a tyle lat właśnie liczyć musiał ów pan w dniu wybuchu wojny — piastować mógł rangę pułkownika.

Olbrzymi szafir, którego nikt nie chce kupić

Wiemy, iż nadmiernie wielkie klejnoty nie przedstawiają realnej wartości z powodu niemożności ich spieniężenia, mimo, iż stanowią olbrzymi majątek. Dwa największe diamenty, znalezione w południowej Afryce w 1904 r. „Culinan" o wadze 332 karatów i olbrzym „Jonker" ważący 720 musiałyby być podzielone na kilkadziesiąt części i dopiero w tej postaci znalazły nabywców.

Podobny los spotkał olbrzymi niedawno wykopany na wyspie Cejlion szafir o wadze 100 karatów, który sprowadzono do Londynu. Pozornie przedstawia się ów szafir bynajmniej nie imponująco. Wygląda jak żółtawo-biały kamień, z którego wartości nie zdawałby sobie sprawy żaden laik. Do podzielenia szafiru musiała być użyta specjalna maszyna, której koszta konstrukcji wyniosą 10.000 funtów szterlingów. Odpowiednia obróbka klejnotu w celu udostępnienia go nabywcom potrwa conajmniej dwa lata.

Żywność dostarczana do domów przez tuby pneumatyczne

W nowej kolonii mieszkaniowej w Berlinie, obejmującej 100 domów zbiorowych, założone zostało „centrum żywnościowe", które na zamówienie telefoniczne dostarcza do poszczególnych mieszkań wszelkiego rodzaju potrawy, przyrządzone w kuchniach tego centrum. Dania przesyłane są z ogromną szybkością przez specjalne rury pneumatyczne, łączące kuchnie z mieszkaniami kolonii. Każda potrawa przesyłana jest w płaskich termosach hermetycznie zamkniętych. Menu tej „ogromnej kuchni centrum żywnościowego" wydrukowane jest w broszurze, obejmującej 300 stron druku, i dostarczane na początku każdego miesiąca wszystkim klientom „centrum". W ten sposób zrealizowała się myśl tych, którzy przewidywali, że w przyszłości jedzenie dostarczane będzie do domów, tak samo, jak teraz woda, gaz i elektryczność.

Ciało ludzkie jest warte tylko 50 groszy

Jeden amerykański chemik obliczył, że ciało ludzkie ma wartość tylko 9 centów amerykańskich (około 50 groszy). Do tego wniosku doszedł po ustaleniu, że z tłuszczu ludzkiego można wyprodukować przeciętnie z jednego człowieka tylko 7 kawałków mydła, z żelaza tylko średniej wielkości gwóźdź, cukru tyle, ile zmieści się do małej solniczki stołowej, wapna — na obielenie jednego małego kurnika, fosforu na łebki dla 2.000 zapałek, magnezji parę gramów t. zn. tylko tyle, ile potrzeba do przepędzenia pcheł z jednego psa. A zatem nikt nie powinien — zbyt wysoko się cenić.

Najmniejsza i największa książka

Biblioteka Narodowa w Paryżu posiada wysoko ceniony zbiór książek miniaturowych. Większość tych arcydzieł ludzkiej zręczności i cierpliwości pochodzi z pierwszej połowy 19 wieku, kiedy zapanowała istna moda na podobne wydawnictwa. Zwłaszcza w Paryżu w latach między 1793 a 1624 wyszedł cały szereg różnych miniaturowych wydawnictw, wzbudzających podziw po dziś dzień.

Rekord jednak w dziedzinie wydawnictw miniaturowych zdobyła Holandia, w której ukazał się niezwykły majstersztyk w postaci książeczki o rozmiarach 8 na 17 milimetrów pt. „Blocen Hofie" (Dziedziniec kwiatowy). Wymiar druku na poszczególnych kartach tego „dzieła" wynosi 6 na 10 milimetrów, a cała książeczka obejmuje 49 stronnic.

Tak się przedstawia najmniejsza książka na świecie natomiast największa — zjawiła się za naszych czasów oczywiście w Ameryce. Oto pewien cieśla w Los Angelos (Kalifornia) wykonał ręcznie największą biblię świata, mającą rozmiary 8 na 3 i pół stopy i ważącą 1094 funty. Oczywiście tej wagi dzieło musiał być specjalnie skonstruowany, a twórca tego dzieła jest dumny, że Ameryka posiadła jeszcze jeden rekord.

ADAM CZEKALSKI

Przedruk wzbroniony!

Rywale

(NOWELA).

I.

— Wiatr... Nie będzie łowów... — mruczał stary kamczatczyk Musaj, wycohdząc z jurty i bystro wpatrując się w daleki horyzont.

A wiatr naprawdę rozhukał się nie na żarty. Z początku nadlatywał urywanemi podrywami od których uginały się piękne brzózki i żałośnie skrzypiały jurty, ale stopniowo nabierał odwagi i z taką siłą uderzał w zagłębienie jeziora Kroneckiego, gdzie Musaj rozbił na lato swoje skórzane namioty, że z trudem opierały mu się nawet stare sosny i olbrzymy liściaste. Zachwiały się, poruszyły niespokojnie rozłożystemi konarami i tak groźnie zawarczały swymi zachrypłymi głosami, aż echo ich pobiegło w dal, ku sinym górom, które łańcuchem otaczały dolinę.

— Nie będzie łowów — powtórzył znowu Musaj i uchyliwszy jelenią skórę, stanowiącą drzwi jurty, znalazł się we wnętrzu. Tutaj, na równo ubitej ziemi, paliło się ognisko, nad którym w kociołku gotował się rosół z mrożonego mięsa, zaprawionego łojem foczym.

Przy ognisku, szturchając je osmalonym ożogiem, siedziała stara baba, żona Musaja, a nieco dalej, na kupie skór, w pozycji półleżącej — ich córka. Dziewczyna ta, w porównaniu z innymi dziewczętami swego plemienia, wyróżniała się niepospolitą urodą. To była przyczyna, że ubiegali się o nią nietylko mieszkańcy dolin, ale nawet myśliwi z dalekiej północy. Było również i wielu konkurentów wśród europejczyków, którzy zjawiali się tu czasem dla połowów, na jeziorze Kroneckiem, największem na Kamczatce. Ot, i dziś naprzykład! Stary Musaj tylko udaje, że pragnąłby wyjechać na połów, a w gruncie, to wiatr go niepokoi ze zgoła innej przyczyny: obawia się, że przy takiej pogodzie ani bogaty tubylec, Talgańczyk Tuczip, ani myśliwy Jan Socha nie odważą się opuścić jurt. A tymczasem obaj oni powinni przed nocą zjawić się u Musaja, aby się dowiedzieć, którego z nich stary Musaj wybierze na zięcia.

Miłość Rojsy była po stronie Sochy, ale ojciec chce być sprawiedliwym: który z nich przywiezie więcej podarków, a głównie „wody ognistej" — ten otrzyma córkę. W tak ważnej sprawie osobiste sympatie Rojsy nie mogą mieć żadnego znaczenia i stary pojmuje to doskonale, bo nie na próżno miał przed oczyma sześćdziesiąt trzy śniegi na Kamiennym Szamanie. Rojsa jednak mówi co innego; ale to głupstwo! Po to ona baba i w dodatku młoda, dlatego też niema sensu słuchać jej.

— Ojcze, oddasz mnie Sosze? — pyta ze swego kąta.

— Oddam! — odpowiada twardo Musaj.

— Niech tylko przywiezie choć tyle więcej „wody ognistej" od talgańczyka — i grubym, zlodowaciałym palcem pokazuje koniuszek małej strzały. — Jeżeli mniej — oddam Tuczipowi.

— Ja nie pójdę do Tuczipa!...

— A gdzież ty pójdziesz?... Do jurty cię nie wpuszczę!...

— Rzucę się do jeziora, a nie pójdę...

Tej okoliczności Musaj zdawał się nie przewidywać; zamyślił się i milczy; matka nigdy się nie miesza do rozmów, bo jest zupełnie głucha; dlatego w jurcie następuje grobowa cisza, naruszana tylko trzaskaniem suchego chróstu na ogniu.

II.

Tak mijały godziny.

Lecz naraz do bystrego słuchu starego Musaja dobiegł jakiś dźwięk; drgnął, nastawił uszy i nasłuchuje. Ktoś nadjeżdża. Tak, nie ulega wątpliwości — to pies zaszczekał, który strzeże stad reniferów. Ktoś nadjeżdża.

Kamczatczyk wstaje, obciąga na sobie skórzaną kurtkę, odsuwa szybko zasłonę i wyskakuje na zewnątrz.

Nie myli się — opodal widać już dwa renifery na jednym z nich siedzi człowiek, drugi idzie luzem z jukami, jak się zdaje.

— Hej!... Kto to?... — krzyczy stary i czuje, jak wiatr zawraca jego głos spowrotem.

— Tu-czip!... Tal-gań-czyk!... — rzuca mu wiatr w twarz potężny głos, a Musaj, wymachując rękami rusza wolno na spotkanie gościa...

— Ot i pogodę dał nam Kamienny Szaman — mówi, gdy Talgańczyk, uwolniwszy renifery, wniósł swoje juki do jurty, a sam, jakby nie spostrzegając kobiet, wita się z gospodarzem i siada przy ognisku.

— Wiatr!... silny wiatr!... — zgadza się gość i spełniając obowiązek grzeczności, pyta z kolei.

— No, jakże tam twoje renifery Musaj?

— Niczego sobie renifery... Mam ośm młodych cielął... Ale twój zmęczył się pewnie bardzo — juki pewnie ciężkie? — zaczyna dyplomatycznie z rozkoszą spoglądając na worki z surowcowej skóry.

Talgańczyk uśmiecha się, przyciąga jeden z nich ku sobie i wolno zaczyna go rozwiązywać. Zalotnik dobywa z niego jeden za drugim rozmaite przedmioty. W blasku czerwonych płomieni ogniska połyskują łagodnie nowiuteńkie rzeczy: podkowy, wielki ostry nóż. nie mówiąc już o rozmaitych drobiazgach, jak gwoździe i dziesięć kłódek, z których można będzie zrobić wspaniały naszyjnik dla żony.

Tuczip czuje że zrobił dobre wrażenie, więc aby ostatecznie zapewnić sobie dobry wynik, zaczyna rozwiązywać drugi worek. Ten jest nieco lżejszy, ale zato jego zawartość oszałamia wszystkich; nawet biedna Rojsa rzuciła mimowolne spojrzenie w jego kierunku, choć natychmiast odwróciła się. A Talgańczyk dobywa zeń uroczyście cztery sztuki barwnej materii jedna za drugą, rozwija je, wstaje i łączy wszystkie cztery kolory razem: niebieski, zielony, czerwony i żółty... Stary Musaj aż cmoknął ustami z zachwytu i dopiero po paru minutach, głosem, w którym brzmiało pełne zadowolenie, rzekł:

— No, a teraz, Tuczip, możnaby się napić „wody ognistej"... Zapewne przywiozłeś jej dość?

III.

Radosna twarz Talgańczyka spochmurniała naraz. Żółtobrodzi*) nie mieli jej, trzeba po nią jechać w kraje słoneczne... Nie mam jej... —powtórzył znowu ponuro, nie doczekawszy się odpowiedzi starego.

Kamczatczyk dalej milczał.

— Czemu milczysz, Musaju? Czyż mało ci przywiozłem podarków?... Powiedz — gdzie i kto otrzymał więcej za dziewczynę?

— Ja otrzymam... przyjedzie polski pan i przywiezie z sobą „wody ognistej" całą beczkę „wody ognistej"... Ot co!

— Jaki polski pan?... Czy nie Socha przypadkiem?

— Tak Jan Socha!...

— On nie przyjedzie, Musaju! Wierz mi, że nie przyjedzie!...

— Cóż to za mors przyniósł ci to w zębach?

— Wiem... Wyminąłem go daleko stąd... Renifer mu zakulał...

— Nie szkodzi — jutro przyjedzie.

— To nieładnie, Musaju! To nieuczciwie nie dotrzymać słowa — obiecałeś dziś z nami skończyć.

— Przecież sam mówisz, że renifer mu zakulał — on nie winien... poczekamy.

Stary widać był zdecydowany postawić na swojem. Talgańczyk spostrzegł to, przerwał spór i zamilkł. W jurcie znowu wszystko ucichło, a czworo ludzi siedzących w niej, nasłuchiwało wycia wichru, próbując ułowić w nim jakiekolwiek inne dźwięki...

— Musaj — przerwał pierwszy milczenie Tuczip.

— Co chcesz?

— A co, jeśli Socha zupełnie nie przyjedzie?

— Nie może nie przyjechać. Tyś go przecież widział, jak sam mówisz.

— No, a jeśli?...

— Twoje szczęście, wtedy weźmiesz Rojsę.

— Czy to ostatnie twoje słowo, Musaju?

— Ostatnie, Tuczip! I nie takie, jak twoja „ognista woda"... Obiecałeś i nie przywiozłeś...

— Drobnostka! Drugim razem przywiozę no. a tymczasem trzeba wyjść do reniferów — mój ryży również coś na lewą nogę zakulał; to najszybszy renifer na wszystkich naszych pastwiskach.

I Talgańczyk podniósł się wolno, przyciągnął pas i wyszedł z uczty.

Długo jakoś nie wracał, tak długo, że stary Musaj zamierzał już wyjść po niego, choć niezbyt przyjemnie było wydawać się z jurty na taki wiatr, na szczęście jednak natknął się u wejścia na Tuczipa, zmęczonego i zarumienionego... Ot, wypadek się stał z jego ryżym reniferem — zląkł się czegoś w obcym miejscu, zerwał rzemienie i zbiegł. Talgańczyk niemało stepu przemierzył na drugim reniferze, nim dopędził zbiega i pochwycił...

Musaj wysłuchał tego wrażenia, a następnie, jak to pewnego razu całe jego stado wystraszyło się tych duchów i uciekło w góry; było to już dość dawno, ale teraz znowu widać zjawiły się duchy w tej dolinie. Wszyscy wysłuchali starego w milczeniu i zasiedli do wieczerzy.

Po kolacji Musaj wyszedł ze swym gościem zobaczyć, czy wiatr nie ucichł i usadowił się, spostrzegłszy, jak gdyby osłabł nieco i nawet powiał w inną stronę. Zobaczył jednak coś daleko niebezpieczniejszego — step płonął. Całe szczęście, że ogień poszedł bokiem od obozowiska i teraz płynął krwawym płomieniem gdzieś daleko za jeziorem.

IV.

Jan Socha jechał wesoło na swym niewielkim koniu prowadząc na sznurze starego renifera, objuczonego wykupem za Rojsę. Słońce nie zdążyło jeszcze dosięgnąć południa, a Jan większą część stepu kroneckiego miał już za sobą i spodziewał się przed zachodem stanąć w obozowisku Musaja. Silny wiatr bił mocno w plecy podróżnika i biegł dalej, falując wysoką trawę. Socha nasadził mocno czapkę na tył głowy, żeby mu jej wiatr nie zerwał i wpatrzył się bystro w krajobraz przed sobą, upatrując dymku nad jurtą kamczatczyka, choć wiedział że z tej odległości nie może go jeszcze zobaczyć. Chwilami znowu przenosił wzrok na dwie ciężkie juki z podarkami dla przyszłego teścia, a głównie na niewielką beczułkę, w której przelewała się z rozkosznym chlupotem tak trudna do zdobycia na tym pustkowiu „ognista woda".

(Dokończenie nastąpi).

*) amerykanie.



Rzesza niemiecka obchodziła w dniu 1 maja uroczystość nacjonalizmu, w której wzięło udział około 17 milionów ludzi. Ilustracja nasza przedstawia powitanie Hitlera przez małą dziewczynkę.

Stojąca na chórze Mala wychylała się za poręcz, ale usta jej milczały.

— A może to tylko jakieś przypadkowe podobieństwo? — pomyślał z ulgą — bo jakżeby się Mala tu dostała?

Zginęła już na pewno w wirze wielkomiejskim. A może już umarła? To byłoby najlepsze, bo wtedy nie mogłaby mi już szkodzić.

Spokój, z jakim się ta dziewczyna w niego wpatrywała, wrócił wreszcie baronowi Sturmfederowi pewność siebie.

Był już teraz przekonany, że ta piękna dziewczyna to jakaś zupełnie mu obca osoba, a gdy opuszczał kościół patrzał z dumą i pewnością siebie na piękną żonę, idącą u jego boku.

Uczta weselna była wspaniała, prawdziwie królewska. Cała weselna drużyna wpadła w złoty humor.

Promieniały piękne oczy, lśniły śnieżne gorsy i białe odsłonięte ramiona.

Rozlegał się dźwięk pucharów, a zapach egzotycznych kwiatów działał upajająco i oszałamiająco.

Zabawa szła ochoczo i coraz to swobodniej.

Żartowano i śmiano się. Panowie szeptali pięknym sąsiadkom komplementa i nikt nie spostrzegł, gdy nowożeńcy wyszli cicho ze sali, a za nimi hrabina Dornbruch.

Było umówione bowiem, że młoda para wyjedzie jeszcze tego samego dnia i zatrzyma się na noc w pewnym miasteczku. Właściciel hotelu był już o tym zawiadomiony i przygotował trzy komfortowe pokoje.

Hrabina Dornbruch zdjęła sama swej córce drżącą ręką wianek mirtowy ze złocistych włosów i pomagała jej przy ubieraniu. Wkładając na nią szarą, podróżną suknię, pouczała ją niepewnym, drżącym głosem o obowiązkach, które na siebie wzięła i które sumiennie spełniać powinna.

Młoda baronówa Sturmfeder nie zwracała jednak uwagi na macierzyńskie upomnienia, gdyż myśli jej były czymś innym zajęte.

— Mina Hardenfels wyglądała dziś bardzo niekorzystnie — rzekła Ada po chwili — jej łokcie tak są szpiczaste, jak jej język. Powinna też była się przypudrować sobie ramiona.

— Nie uważałam, aby wyglądała tak niekorzystnie — odparła dobrotliwie hrabina — zresztą widziałam, że się przejęła przemową księdza podczas waszej ceremonii i to było bardzo ładne. Ma ona dużo serca.

— Głupia jest! — rzekła pani baronowa Sturmfeder.

Nagle zapukał ktoś lekko do drzwi.

— Proszę wejść! — zawołała młoda żona. — Wszedł baron Sturmfeder i objął ją czule.

— Powóz już czeka, mój aniele — rzekł — pożegnaj się więc z twoimi kochanymi rodzicami.

Ada wywinęła się z jego objęć i ucałowała swoją matkę. Egon przycisnął rękę hrabiny do swych ust.

— Bądź dobrym dla Ady — szepnęła hrabina wzruszona.

— Proszę być spokojną, najdroższa matko! Będę strzegł Ady, jak oka w głowie — uspakajał ją baron — ja...

Lekkie pukanie do drzwi przerwało jego zapewnienia.

— To papa — przypuszczała młoda baronowa, prosząc przybysza do środka.

W progu ukazał się jednak zamiast hrabiego Dornbrucha, jeden z lokajów.

— Czego chcesz? — spytała Ada ostro.

— Jakiś człowiek przyszedł tu i chce mówić z panem baronem! — rzekł służący.

— Powiedz mu, że mnie nie ma — rozkazał Sturmfeder.

— Powiedziałem mu to już — zapewniał służący — ale on nie daje się odprawić i utrzymuje, że musi z panem baronem pomówić w bardzo ważnej sprawie.

— Cóż to za natręt? — zawołała Ada marszcząc brwi.

— Nie chciał powiedzieć swego nazwiska — opowiadał dalej lokaj — jest wysoki i barczysty i ma pióra orle na kapeluszu.

Twarz nowożeńca spochmurniała.

— W najszczęśliwszym dniu mego życia nie chcę odprawić nieszczęśliwego — rzekł baron patetycznie. — Zaprowadź więc tego człowieka do biblioteki! Chcę wysłuchać jego prośby.

— Jaki ten Egon dobry! — rzekła hrabina ze szczerym podziwem.

— Muszę być litościwym dla mych cierpiących współbraci, aby się niebu odwdzięczyć za moje szczęście — rzekł Egon z uczuciem.

W duchu zaś pomyślał:

— Niech jasny piorun uderzy w tego niegodziwca! Mógłbym się założyć, że to nikt inny jak Alojzy. Ale cóż na to poradzę? Nie pozostanie mi nic innego jak nadrabiać miną i wysłuchać go.

Skierował swe kroki w stronę biblioteki, w której znalazł rzeczywiście Alojzego.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

CHWILA ZASTANOWIENIA

Konikówka

pod. W. Mataczyński — Łysinin.

Próż	złym	stwem	pa	się
zwa	bą	no	żą	prze
kto	mę	la	ten	no
so	po	łą	chwa	dzom
i	la	nad	wać	si

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

Rebusiki

uł. „Eros".

po / ra mia / ry

ko / py   nie / ta.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, 21 maja br.

Rozwiązanie zadań z numeru 18 „Moich Powieści": Rozsypanka: „Naród, w którym oszczędzanie stało się przyzwyczajeniem każdego obywatela, buduje swe gospodarstwo na najtrwalszym fundamencie". Wyraz w trzech znaczeniach: Rak.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Jadwiga Zielińska — Włocławek, Zofia Owczarzakówna — Poznań, Eleonora Nowakówna — Chełmża, Józef Cichowski — Byszki, Teodor Kujawa — Dorszyn, Alojzy Makurat — Gdynia, Józefa Bogaczykówna — Katowice, Janina Passakówna — Łódź, Urszula Skutecka — Poznań.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Janinie Passakównie z Łodzi i Józefowi Cichowskiemu z Byszek.

ADAM CZEKALSKI

9)

Sen o zemście

OPOWIEŚĆ STAROPOLSKA

Ale wszelki opór, choćby nie wiedzieć jak mężny i bohaterski, na nic się zdać nie mógł. Na broniących wstępu Ciechanowieckich napadł z taką siłą Wołodkiewicz, iż rozbił ich w jednej chwili w puch i otworzył wolne wejście do warowni grafa Strutyńskiego.

Ciechanowieccy z Wołodkiewiczem rzucili się na poszukiwania wodza tej warowni, wycinając po drodze spotkaną służbę, ale przetrząsnęli wszystkie komnaty, wszystkie zakamarki, nawet piwnice i strych, lecz grafa nigdzie nie odnaleziono. Znikł gdzieś bez śladu.

— W ducha wszak przemienić się nie mógł! — zawołał rozdrażniony starosta opeski i nakazał zapalić żagwie i szukać zbiega między pobitymi i rannymi.

Lecz graf przepadł, jakby się pod ziemię zapadł i on jeden, jak się zdaje, ocalał z pogromu, bo kto nie padł w walce, tego następnie utopiono w jeziorze, aby i świadek klęski nie pozostał.

Po paru godzinach walki, gdy ustała już rzeź, wypłynął na niebo księżyc i martwym swym blaskiem oświetlił niewyraźnie pobojowisko. Panowała tu teraz, po niedawnej wrzawie bitewnej, cisza. Śmierć bezszelestnie krążyła nad pobojowiskiem, a kogo z rannych dotknęła swym palcem, ten z cichym jękiem lub z cichym westchnieniem zasypiał na zawsze.

Na rozkaz Ciechanowieckich sporządzano pospiesznie trumny i układano w nich poległych. Do najparadniejszej złożono Ksawerego i wśród okrutnego lamentu i zawodzenia, w otoczeniu nieprzeliczonej rzeszy radziwiłłowskiej frakcji, powieziono do Wilna, aby sprezentować sądom trupa i domagać się kary na zbrodniarzy.

XV.

SĄD I KARA

Ciągnął ów ogromny kondukt żałobny wolno ku Wilnu, a po drodze burzył umysły szlachty i skarżąc się a bolejąc, wzywał na głowy zbrodniarzy pomsty nieba i braci szlachty tu na ziemi. Jak Litwa długa i szeroka, biegł przez nią lament Ciechanowieckich. Tłumy szlachty z rozmaitych powiatów przyłączały się po drodze do konduktu, tworząc już teraz ogromną rzeszę, która mogła w razie potrzeby stawić skuteczny opór nawet regularnemu i licznemu wojsku nieprzyjacielskiemu.

Pułkownik Wołodkiewicz nie pociągnął do Wilna, ale zabrawszy zwłoki syna i uprosiwszy u Ciechanowieckiego część żołnierzy, poszedł do swoich majętności, by tam poczekać na wyrok sądu wileńskiego.

Przybywszy do Wilna, Ciechanowieccy zgłosili się bezzwłocznie w sądzie i tu okazując trupa młodzieńca, tak niecnie w zaraniu życia ręką zbrodniczą zamordowanego, a chwaląc własną „modestię w tej sprawie i moderację" — domagano się skazania grafa Strutyńskiego na infamię i ukaranie na gardle, jako jedynie winnego tej zbrodni.



Młodziutka tancerka akrobatyczna Gracie Schenk w jednej ze swoich efektownych figur tanecznych.

Opisawszy sprezentowane zwłoki, sąd obiecał sprawę rozpatrzeć, a tymczasem nakazał zwłoki pochować.

Przygotowano się też do pogrzebu z wielkim staraniem i pieczołowitością, pragnąc z niego uczynić wielką manifestację przeciwfamilijną. Sam książę Panie Kochanku osobiście przybył do Wilna na ten pogrzeb, pragnąc oddać ostatnią posługę członkowi tak wielce wiernego i oddanego mu rodu.

Po nabożeństwie żałobnym w katedrze, odśpiewaniu egzekwii — wyruszył na cmentarz orszak żałobny. Na przodzie szli księża i zakonnicy w czarnych strojach, zawodząc pienia żałobne; za nimi przyjaciele nieśli trumnę ze zwłokami, za którą tuż zaraz kroczył książę Panie Kochanku w otoczeniu Ciechanowieckich i co najprzedniejszych dostojników litewskich, popleczników swej frakcji. Dalej postępowała szlachta, według zasług, wieku i godności uszeregowana, za nią wojsko, a na końcu olbrzymi, nieprzeliczony tłum.

Już choćby tylko z liczby uczestników tego pogrzebu można było brać miarę o potędze frakcji radziwiłłowskiej.

Obszerny cmentarz nie był w stanie pomieścić wszystkich żałobników, to też na cmentarz weszli tylko co najprzedniejsi.

Po odprawieniu ostatnich ceremonii kościelnych nad trumną, przesmutna melodia pieśni pogrzebnej wzbiła się łzawymi tonami w niebo. Zerwały się szlochy i płacze w różnych miejscach, buchnęły łkania zduszone i długo utulić się nie mogły. Ale, gdy w końcu opanowano żal, zaczęli na trumną przemawiać kolejno liczni oratorowie, którzy grzmieli jak trąby jerychońskie o cnotach zabitego, a zwłaszcza o niecnocie pana Strutyńskiego, wołając dla niego o sąd, o pomsty grom.

Po pogrzebie książę Karol zaprosił do siebie co przedniejszych panów i popleczników na stypę, gdzie zamknąwszy się sam na sam z Janem Ciechanowieckim, taką z nim miał rozmowę:

— Cóż Strutyński, panie kochanku, żyw?

— Różnie mówią: jedni, że zmarł z ran w Brasławiu, drudzy, że za niewiastę przebrany, zdołał ujść i uratował się.

— Nie szukałżeś go? Nie ścigał?

— Szukałem wszędzie, ale wszelki ślad po nim zaginął. Jeśli jednak żyje, nie minie go moja pomsta, a Wołodkiewicz odnajdzie go, choćby na głębokość szabli się zakopał. Dobędziem go nawet z pod ziemi i na trupie zemsty dokonamy.

— A ona... owa niewierna małżonka twoja?

— W Warszawie na tanecznych salonach króluje.

— Dochodzą mnie częste głosy, jakoby z panem stolnikiem litewskim w zażyłej komitywie pozostawała?

— I mnie takie głosy dochodzą, wasza książęca mość.

— I cóż ty na to? Nie zechcesz na panu stolniku zemsty poszukać?

— Poszukam jej, wasza książęca mość.

— I dobrze zrobisz, panie kochanku. A póki co — małżeństwo to musi być rozwiązane, musi, panie kochanku... choćby gromy biły. Nie będę ja Radziwiłłem, jeśli nie pomogę ci w rozwodzie i nie doprowadzę do tego, aby małżeństwo to zostało rozdzielone. Frakcja przeciwna opiera się, nie chce iść do rozwodu, pragnąc, panie kochanku, zatrzymać przy sobie starostwo opeskie, kruczkami i przekupstwem osiągnięte. Ale nic z tego, panie kochanku, starosto, nic z tego. I wiedz o tym, mój przyjacielu, panie kochanku, iż to ona, owa niewierna małżonka twoja nakłania zarówno grafa, jak i księcia kanclerza za pośrednictwem swego gaszka, stolnika litewskiego, do tych wszelkich napaści na ciebie. Na niej również, jak na innych pomsty poszukać winieneś.

— Poszukam! — odrzekł twardo starosta. — Poszukam, ale biada jej, gdy się w ręce moje dostanie.

— Tak trzeba, panie kochanku, tak trzeba... A co do wyroku — bądź spokojny, już ja go tu przypilnuję. A ty wracaj zaraz do siebie i nie czekając wyroku, poszukaj tego wywłoki i — wiesz, co masz z nim zrobić, jak sobie postąpić. Kamienia na kamieniu nie zostaw w jego majętnościach, nikogo nie oszczędzaj z plenipotentów pana wolszczańskiego. Ja stoję za tobą i żadnej krzywdy nie dam ci uczynić.

— Pomsta pali mnie, wasza książęca mość.

— Więc ją utop we krwi tego wywłoki.

— Utopię, tak mi Panie Boże dopomóż.

XVI

WOJNA DOMOWA

Wrócił do domu starosta opeski jeszcze bardziej na teścia zawzięty, jeszcze bardziej złamany wiadomością, że

przyczyną tych wszystkich ekscesów przeciw niemu i jego rodzinie jest słodka Hedwig. Lecz tym razem nie pogrążył się w bezczynnych rozmyślaniach samotnych w swoim przytulnym pałacu nad jeziorem, ale na gwałt począł ściągać oddziały wojskowe, szykując się do walnej z teściem rozprawy.

Zaciszna Opsa, gniazdko jakby specjalnie stworzone do spokojnej miłości, zamieniła się teraz w obóz zbrojny. Rżały konie bojowe, rozlegały się komendy oficerów, ćwiczących żołnierzy, dźwięczały szable, podnosiły się wrzawy wciąż winem i zemstą pijanej hassy szlacheckiej.

Ponury, do Jowisza gromowładnego podobny, pułkownik Wołodkiewicz chodził posępnie wśród rot żołnierskich, ból swój w rozmyślaniach przeżuwając i hasła tylko wyczekiwał, aby na wyprawę ruszyć.

Starosta domaski, generał Ćwilichowski, Wilczek — naradzali się ciągle ze starostą opeskim, rozsyłali rozjazdy i szpiegów na wszystkie strony, lecz główne siły wciąż jeszcze stały w Opsie, czekając. Do czasu nadejścia wiadomości o wyroku trybunału wileńskiego, nie chciano rozpoczynać wojny.

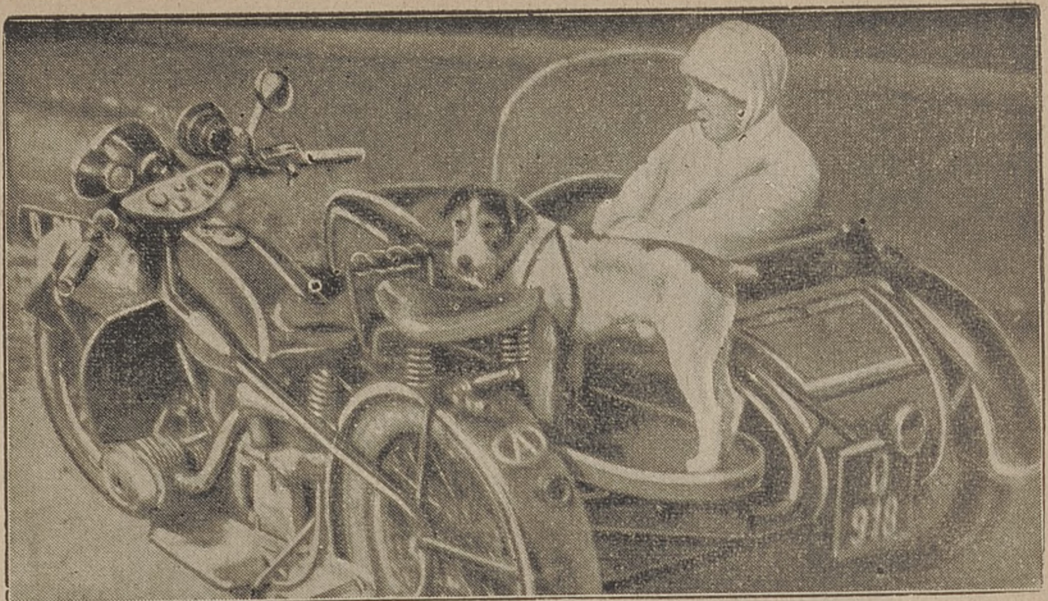
Czas dłużył się wszystkim niepomiernie, a zawziętość z dnia na dzień rosła. Aż w końcu przyszła wiadomość, która w Ciechanowieckich i ich przyjaciół uderzyła jak grom. Oto sądy warszawskie, działające pod wpływem Familii, orzekły, iż Ciechanowieccy mogą osobiście dochodzić swoich krzywd na Strutyńskim.

— Dobrze — powiedzieli sobie na to Ciechanowieccy — skoro sądy warszawskie odsyłają nas na inną drogę — wstąpimy na nią, jeno, że nie będzie to droga długiego procesu o śmierć naszego brata, droga, na której zabójca może nam umknąć, ale znacznie krótszą i rychlej do celu prowadząca.

I jeszcze tegoż dnia, rozdzieliwszy wojsko i szlachtę na setki drobnych oddziałów, rzucono je na włości Strutyńskiego. Wnet wzbiły się na niebie łuny pożarów, niby groźne wici, zwiastujące początek krwawej pożogi. Nieubłagana, żelazna stopa wojny niszczyła wszystko, cokolwiek kiedy było, kiedy żyło. Płonęły dwory i dworki, płonęły brogi i lasy, a czego ogień strawić nie mógł — burzono doszczętnie, by i kamień na kamieniu nie pozostał.

Setkami własnych i przyjacielskich oddziałów szukał drapieżnie pan Jan Ciechanowiecki teścia, ale ten jakby się pod ziemię zapadł, znaku życia o sobie nie dając. Chodziły gadki, że Strutyński się uratował i w Warszawie bezpieczny siedział, to znowu, że na Multany i do Wołoszy się dostał i tam czeka jeno sposobnej chwili, aby na czele najemnej hałastry wołoskich karałaszów do Litwy wkroczyć i tam pomsty na zięciu poszukać. Ale pewnie nikt dobrze nie wiedział, co się z grafem stało i gdzie on się podziewa: żyw-li, czy ziemię na cmentarzu brasławskim gryzie?

A tymczasem Ciechanowieccy i ich komilitoni niszczyli włości Strutyńskiego do ostatniego kamienia, a gdzie dojechali którego ze stronników Familii, nawlekali go na szpadę gładko, lub wieszali na pierwszej lepszej gałęzi. Zwłaszcza mścił się za syna pułkownik Wołodkiewicz, który przebiegał kraj na kształt płomienia i wygniatał familiantów, nie pytając o to: winni-li oni lub nie.



Fifi może również udawać się ze swym państwem na wycieczkę motocyklem. ą Pierwsze maszyny z pomieszczeniami dla piesków ukazały się w Austrii.

Rozpętała się na małym odcinku wojna domowa, tym groźniejsza, że początkowo strona napadnięta nie broniła się zorganizowanie prawie wcale. Ktoś tam w pojedynkę stawiał opór, ktoś tam skrzyknął paru familiantów i sąsiadów dobrodziejów ku wspólnej obronie, ale nim ci nadbiegli, już napadnięty dyndał na drzewie, dawno oddawszy Bogu frakcyjnego ducha, a budowle jego poszły z dymem.

Wśród tych walk i pogoni za familiantami, nadbiegła z Wilna szczęsna i radosna wieść, że sądy wileńskie skazały zaocznie grafa Józefa Berlicz-Strutyńskiego na infamię, ścięcie mieczem, zapłacenie 140.000 złotych polskich i konfiskatę majątków.

W obozie radziwiłłowskim zapanowała radość niebywała. Już teraz mieli Ciechanowieccy za sobą prawo, bo mieli wyrok sądowy, mogli więc działać tym śmielej, że powołując się nań, mogli się mienić wykonawcami sprawiedliwości. Toż infamisa, spotkawszy — każdy miał prawo i obowiązek zabić bezkarnie.

Na stronników księcia kanclerza natomiast padł blady strach. Tak surowy wyrok na jednego jeśli nie z głównych, to w każdym razie główniejszych wodzów frakcji familiinej — odbierał im możność zanoszenia swoich skarg do trybunałów, jako pokrzywdzonym.

Rozhulała się też teraz groza szlachecka nie na żarty. Setki oddziałów niszczyły resztki majętności Strutyńskiego, o ile przedtem już nie zdołano ich zniszczyć, niebo a ziemię jeno zostawiając.

Książę kanclerz nieraz wieczorami widział z okna swego pałacu w Wołczynie dalekie łuny pożarów, płonące na niebie krwawym odblaskiem. To gorzały majętności starosty szakinowskiego, grafa Strutyńskiego.

Wściekłość go ogarniała na myśl o tylu pobitych popleczników, o tylu majętnościach ogniem zniszczonych. Postanowił też i on wystąpić zaczepnie w obronie wygniatanych swoich adherentów, obawiając się, aby te krwawe łuny i jemu samemu z bliska w oczy nie zaświeciły. Postanowił wystąpić zbrojnie i stawić czoło hulającym bezkarnie watahom Ciechanowieckich. Nakazał tedy przygotować najprędzej wyprawę, na czele której sam miał stanąć swoją osobą.

Na parę godzin przed wyruszeniem tej wyprawy w pole, zajechały do Wołczyna pańskie jakieś kolasy i bryki zabłocone całe. Po zmordowanych koniach poznać łacno można było, że odbyły one daleką drogę. Z kolebki na szerokich rzemiennych pasach wysiadła pani Strutyńska z córką, obie w szatach prawie żałobnych i szybko oznajmić kazały księciu panu.

Książę Michał kończył właśnie przy pomocy rękodajnych ubieranie do drogi, gdy oznajmiono mu przybycie obu pań. Odprawił natychmiast służbę i kazał prosić. Weszły pobladłe, zmęczone daleką drogą i ze łzami w oczach rzuciły się księciu do kolan.

— Ratuj, wasza książęca mość! — zawołały równocześnie. — Nie pozwól na bezprawia, w których panowie białoruscy granic ni miary nie znają.

Książę kanclerz podniósł obie panie, posadził je i zaczął wypytywać:

— Gdzie graf? Żyw-li?

— Żywym pozostawiłyśmy go u pana Rudominy w stolicy, ale czy długo żywym będzie wobec wyroku trybunału wileńskiego, leży to jeno w mocy waszej książęcej mości.

— Jeśli szczęśliwie uszedł — żyw będzie. Czy pan stolik litewski wie o nim?

— Prosiłyśmy pana stolnika o pomoc i opiekę — obiecał nam ją.

— Zatem bądźcie wasze miłoście spokojne, panu staroście szakinowskiemu włos z głowy nie spadnie.

— Ale majętności nasze! Tyle zniszczeń, tyle zniszczeń... Dziś już kąta własnego nie mamy, gdziebyśmy głowy bezpiecznie skłonić mogły. Całą naszą mizę w ręce waszej książęcej mości składamy, błagając o pomoc, o ratunek.

— Przyrzekam ją waszym miłościom i Bóg mi świadkiem, mon cherciu, iż dotrzymam przyrzeczenia, choćbym tych



Pierwszy maj odznaczył się w wielu państwach szeregiem demonstracyj. Oto zdjęcie z Paryża, przedstawiające pochód socjalistów i komunistów z olbrzymimi transparentami.

grasantów Ciechanowieckich do samego Nieświeża miał ścigać.

— Bóg to waszej książęcej mości stokrotnie wynagrodzi, a my starać się będziemy wiernymi służbami choć w części odpłacić się tutaj, na ziemi.

— Właśnie wyruszam na wyprawę przeciw grasantom radziwiłłowskim, a wasze miłoście, mon cherciu, zostańcie u mnie, gdzie i bezpiecznie i wygodnie. Stąd was nie weźmie nawet sam książę, Panie Kochanku.

Gotowe do drogi nadworne chorągwie kanclerskie czekały już na niego na dziedzińcu pałacowym, więc pożegnawszy obie panie, książę kanclerz dokończył ubierania wojennego i zszedł na ganek, gdzie dwóch z służby trzymało ognistego karosza o tak lśniącej szerści, jak najczerniejsze skrzydło krucze.

Książę Michał wskoczył lekko na kulbakę, stanął na czele chorągwi i na znak jego wojsko wyruszyło z Wołczyna.

Już w parę dni później zniósł kanclerz kilka pomniejszych oddziałów radziwiłłowskich, nikogo nie żywiąc, a w dwa dni potem począł ścigać pułkownika Wołodkiewicza, który w pobliżu grasował. Pułkownik jednak, nie mając dostatecznych sił, aby zmierzyć się z doborowymi chorągwiami kanclerza, unikał spotkania wręcz, kluczył, wymykał się, a gdzie mógł, najeżdżał komiltonów Strutyńskiego, mieczem na głowach ich karał i samego księcia kanclerza przy okazji podchodził, nieustannie go niepokojąc.

Rozsyłał książę podjazdy, gonił go i osaczał, ale pułkownik znikał mu zawsze w ostatniej prawie chwili, aby po dniu lub dwóch wypłynąć znowu tuż pod nosem księcia i wyciąwszy jego plenipotentów i drogę trupami naznaczywszy — znowu ukryć się w znanych sobie komyszach leśnych.

Książę pienił się z wściekłości, wyrzucał swoim dowódcom nieudolność, ale długo pozostawał bezradny i bezsilny. W końcu nie chciał już dłużej narażać się na tak jawny afront i postanowił dostać pułkownika w swoje ręce za każdą cenę. Jakoż dopadł go pewnego dnia na rozświcie i wyciąwszy w pień jego ludzi, samego pułkownika żywym pojmał.

— Witam waści, mości pułkowniku — powitał Wołodkiewicza książę kanclerz, gdy związanego stawiono przed obliczem Czartoryskiego. — Jakże zdrowie waszmości?

— Jako wasza książęca mość widzisz.

— Nic ci nie dolega, mon cherciu?

— Ci, co dolegali już dawno spoczęli w ziemi na głębokości szabli.

— A waść, mon cherciu, nawet tej pociechy mieć nie będziesz, byś w ziemi spoczął.

— A czemuż to, mopanku?

— Boć powiesić cię każę.

— Jakim prawem?

— Tym samym, jakim ty, mon cherciu, ścinałeś i paliłeś moich ludzi.

— Ja mam wyrok trybunału za sobą.

— A ja taki, mon cherciu, i bez wyroku powiesić cię każę. Ot co!

I po tych słowach, skinąwszy na żołnierzy, książę kanclerz istotnie kazał pułkownika powiesić.

XVII.

GAŁĄZKA OLIWNA

Powieszony bez sądu i bez wyroku Wołodkiewicz zdał się być tą ostatnią kroplą goryczy i nienawiści, która przepełniła kielich zemsty ludzi księcia Panie Kochanku. Gniew, jaki z tego powodu powstał, ogarnął już nie tylko samych stronników radziwiłłowskich, ale prawie całą Litwę jak długa i szeroka. Owa śmierć niesławna pułkownika stała się atutem pierwszorzędnej wagi zarówno w rękach jak i w ustach plenipotentów księcia Karola.

— Oto, czego spodziewać się możecie waćpanowie po swoim księciu kanclerzu, gdyby posiadł on moc nad krajem! — grzmiano na sejmikach i zgromadzeniach.

— Oto czem się okazał być ów wódz Familii! Nie pomny na urodzenie, na zasługi i godności, jako rzezimieszek rozbijający po drogach najznamienitszych obywateli na drzewach przydrożnych obwiesza.

Ciechanowieccy szaleli z gniewu i żądzy pomsty.

— Śmierć możnowładcy! — rzucili hasło.

— Na pohybel tyranowi! — odpowiedziała odzewem oburzona do głębi szlachta, błyskając tysiącami szabel w słońcu.

— Hejże na Wołczyn!

— Wykurzyć tego jaźwca z jego jamy!

Co słabsi plenipotenci Czartoryskich, nie chcąc dłużej służyć tyranowi, przechodzili do frakcji radziwiłłowskiej, odgrażając się teraz Familii narówni z Ciechanowieckimi.

Powiadomiony o tragicznej, a tak niesławnej śmierci pułkownika książę Panie Kochanku, posłał zaraz do króla sążnistą skargę, w której żalił się, „iż książę kanclerz, gwoli zaspokojenia własnej ambicji i prywatnego interesu, ludzi jego (t. j. księcia Panie Kochanku) po drogach napada, bez sądu wiesza, majętności przyjaciół jego najeżdża i z dymem puszcza, co już jest jawnym dowodem wszczęcia wojny domowej, przeciw czemu on (t. j. książę Karol) o ileby sprawiedliwości u tronu nie znalazł, sam wojskiem swoim siebie i swoich przyjaciół bronić będzie zmuszony".

A starosta opeski, pomagając księciu panu i mszcząc śmierć przyjaciela, zebrał wojsko i ogromną hassę szlachecką, najechał już teraz majętności księcia kanclerza, ścinając i paląc wszystko, co na drodze swej znalazł.

Cała Litwa do głębi była wzburzona „bezprawiem możnowładcy z Wołczyna". I znowu, jak wielekroć przedtem, ujrzała się szlachta zagrożoną w swoich wolnościach i swoich przywilejach, że nie może ona być karana bez sądu i udowodnienia winy, to też fakt ów niesławnej śmierci pułkownika Wołodkiewicza wydał się szlachcie litewsko-białoruskiej naruszeniem fundamentów całej Rzeczypospolitej.

Grzmiały więc po całej Litwie wezwania do pomsty, do ukarania na głowie „sprośnego tyrana", a tymczasem najeżdżano mu majętności i obracano całe okolice w perzynę.

I znowu teraz książę kanclerz dość często widział z okna swojego pałacu w Wołczynie nowe łuny pożarów, ale tym razem były to łuny pożarów we własnych jego majętnościach. I tym razem poczuł, iż się przeliczył w swoich wyrachowaniach, zrozumiał, iż przesadził w zemście. Był gotów pójść z księciem Panie Kochanku na ugodę, na kompromis, był gotów pogodzić się z Radziwiłłem za każdą cenę, z wyjątkiem jednego punktu, by Radziwiłł odstąpił Ciechanowieckich i pozwolił Czartoryskiemu zniszczyć panów białoruskich.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

ADAM NASIELSKI.

3)

Tajemnica zamkniętego gabinetu

— Myślę, że dowiem się wreszcie od pana czegoś konkretnego i rzeczowego, panie dyrektorze. To doprawdy nie ma najmniejszego sensu i raczej ja powinienem obawiać się ośmieszenia. Chyba że pan wciąż trwa przy swojem. Przy czem...? Nie będę nalegał. Ostatecznie ma pan do dyspozycji inne sposoby, inne wyjście, jak przypuszczam — inaczej powiedziałby mi pan wszystko. Jeżeli mam być szczery, dziwi mnie takie postępowanie. Ja jestem obcy i detektyw — muszę być ciekawy. A dla pana może ze względów bussinesowych może to być niewygodne. Poco więc było wzywać mnie, aby mnie zanudzać tajemniczością. Albo — albo.. Nie znaczy to, aby mi nie było przyjemnie porozmawiać z panem o różnych głupstewkach — lecz wybaczy pan — nie w godzinach urzędowych.

Po tem długiem i niedwuznacznym wyjaśnieniu Stokowski skinął głową tak, że nie można było określić dokładnie, czy potakuje, czy zaprzecza, czy też zastanawia się nad czymś odrębnym.

Czytałem i słyszałem o panu dużo, inspektorze. Gdy pan przedstawił mi się na balu — pomyślałem, że... pan byłby odpowiednim człowiekiem i... posłałem mojego sekretarza.

Wskazał na siedzącego obok sekretarza.

— Teraz żałuję, że panu zawracam głowę, bo nie mogę... nie mogę powiedzieć nic wyraźnego.

Wpatrzył się prosto w oczy Bernarda Żbika.

— Wiem, że chcą mnie zabić w najbliższym czasie. Wiem.. kto to chce uczynić... Ale nie mogę wskazać osoby. Czy to panu może wystarczyć.

— Dla oceny pańskiego stanu psychologicznego — tak, o ile dam wiarę pańskim obawom. Dla akcji zapobiegawczej-śledczej — to co mi pan dotychczas powiedział, niema żadnego znaczenia, ani formalnego, ni faktycznego. Takie sobie banialuki — à la Wallace. Chce mnie zabić w najbliższym czasie. Wiem kto i trzy kropki, ale nie mogę wskazać i wielokropek. To jest sprzeczność, panie dyrektorze! I to nikomu nie może wystarczyć. Jeżeli pan wie — proszę wskazać tę osobę i dowody lub poszlaki — i wystawimy nakaz aresztowania. A jeżeli pan tylko tak mówi — mogę tylko poradzić, żeby się pan zwrócił do dobrego neurologa — fachowca, lub do mądrego adwokata. Bo to, co od pana dotąd usłyszałem nie wchodzi w moje kompetencje jako oficera policji śledczej. Proszę mi wybaczyć brutalność — ale nie mogę zająć innego stanowiska wobec tego jakie pan zajął.

Rysy przystojnego bankiera ściągnęły się kurczowo. Nie patrzał na inspektora, gdy przyznał.

— Jest pan drańsko logiczny i bezwzględnie szczery. Mimo to nie mogę zmienić tego co powiedziałem. Mój strach ma zupełnie realną przyczynę i chodzi mi o usunięcie tej przyczyny. Czy pan rozumie.

— Ani słowa. Proszę nareszcie mówić wyraźnie. Kto lub co panu grozi? Skąd pan o tem wie? Jaki jest powód obecnej decyzji zwrócenia się do mnie, czyli do osoby trzeciej? Na czym polega to zagadkowe usunięcie przyczyny.

— Usunięcie przyczyny? — Oczy bankiera pozostały nieruchomo wpatrzone w jeden punkt na blacie stolika, gdy rzekł twardo, z pewnym dźwiękiem okrucieństwa: — Usunięcie przyczyny może być tylko jedno. Polega ono na zabójstwie.

— Pana?

— Nie. Na śmierci osoby, która mi zagraża, lub na jej unieszkodliwieniu — przedtem nim groźba zostanie wprowadzona w czyn.

Atmosfera w pokoju stawała się ciężka, duszna, patalogicznie przygniatająca, pomimo, że nic właściwie jeszcze nie zaszło. Przecież tragedia nastąpiła wkrótce.

— Nie sądzi pan chyba, że ja kogoś zabiję, aby pana obronić... profilaktycznie i na podstawie t a k i c h zeznań. Muszę znać całą prawdę i mieć dowody w ręku.

W ustach Erazma Stokowskiego zadrgał dziwny uśmiech.

— A g d y b y m ja, aby obronić się przed grozą, co do której nie mam wątpliwości — g d y b y m j a z a b i ł. To co wtedy?

— Wtedy aresztowałbym pana, panie dyrektorze.

Jednocześnie Bernard Żbik przestraszył się nie na żarty. Zaczynał przypuszczać, że przed nim siedzi człowiek obłąkany, chory, nieszczęśliwy i nieodpowiedzialny. Mimo woli spojrzał pytająco na siedzącego obok inżyniera Downara. Ale twarz sekretarza była niemniej przestraszona niż oblicza obu detektywów.

— Pan sądzi, że ja zwariowałem, inspektorze. Mogę pana zapewnić, że jestem zupełnie zdrów na umyśle... s k o r o dotychczas nie oszalałem ze strachu.

Mgła. Sama mgła. Czarna, nieprzebyta, zagadkowa i niedostępna — jak ten skomplikowany człowiek, siedzący przed nimi.

— Pozwoli pan, że zadam kilka pytań, panie dyrektorze. Kiedy powziął pan pewność o istnieniu niebezpieczeństwa.

— Przed rokiem.

Powiedział to zupełnie wyraźnie i widział, że wywarł wrażenie.

— Kiedy jednak nastąpił ostatni napad strachu przed śmiercią. Ten, który spowodował myśl zwrócenia się do mnie.

— Na to nie mogę odpowiedzieć.

— Nie może pan, czy nie chce.

— U mnie to na jedno wychodzi.

Inspektor wstał stanowczo, skłonił się poważnie i dał znak aspirantowi.

— Przepraszam, o ile czymś uraziłem. Jestem oficerem policji, a nie wróżką. Myślę, że to jest sprawa dla lekarza lub adwokata. Ja spełniłem swój obowiązek i pana prośbę. Dowidzenia.

Skinął głową sekretarzowi, podszedł do drzwi i otworzył je nie odwracając się. Miał dość. Nie umiał być przesadnie grzeczny w pewnych momentach i głowa go rozbolała. No, i naprawdę nie był psychiatrą fachowcem, a tu... Po drugiej stronie progu dobiegł go przytłumiony głos:

Proszę zostać, panie inspektorze. B ł a g a m pana... Odpowiem na niektóre pytania.

V.

Ozyrys.

Inspektor żachnął się, zupełnie mimo woli i instynktownie — lecz wrócił. Zauważył od razu zmianę na twarzy bankiera i zachował ją sobie w pamięci. Odniósł wrażenie, że potentat zdecydował się wbrew własnej woli, pod wpływem sugestii strachu... czy urojenia. Jak się wkrótce okazało strach odegrać miał w tej sprawie rolę dominującą. Był jej przyczyną i trzymał w swych okowach uczestników dramatu aż do nieoczekiwanego i groźnego zakończenia.

— Słucham — rzekł Żbik wyzywająco, gdy usiadł ponownie. Nie umiałby sprecyzować przyczyny lekkiego zdenerwowania, jakie go naraz ogarnęło. Zauważył tylko, że ręka, którą trzymał zapałkę, jego własna ręka drgnęła dwukrotnie. Czyżby rzeczywiście było coś w atmosferze tego domu. Skąd, bzdury..

— Chce mi pan powiedzieć coś rzeczywiście ważnego, czy też ma pan zamiar w dalszym ciągu krążyć mętnie wokoło znaków zapytania, niedopowiedzeń.

— Muszę coś powiedzieć, bo mogę oszaleć.

Nie było w tem na oko ani cienia przesady lub melodramatu. Taki bussinesman napewno nie był romantykiem. A jednak dziwnie zabrzmiały te słowa w ustach tego człowieka o twardym, nieugiętym profilu — który był albo umysłowo chory — albo przerażony aż do obłędu.

— Kto panu powiedział o moim strachu, panie inspektorze.

— Pańska twarz. Gdybym nie umiał patrzeć, zasługiwałbym na dymisję.

— Słyszałem dużo o pańskich zdolnościach psychologicznych...

— I znów pan kołuje? Czy pan mnie uważa za półgłówka. Czy musimy się podchodzić nawzajem jak dzieci lub kobiety? Bądźmy poważni. Mówiąc zupełnie szczerze — chciałbym przecież usłyszeć coś o pańskiej tajemnicy, lub tak zwanej tajemnicy.

— Trudno...

Bernard Żbik widział jasno, że finasista chce jak najdalej usunąć chwilę wyznania. Nie rozumiał jeszcze przyczyny tego stanowiska.

— Słyszał pan kiedyś lub czytał o nazwie: Dongola.

— Możliwie, lecz nie przypominam sobie.

Bankier zawahał się znów. Przetarł czoło płaszczyzną dłoni i ruch ten wcale nie wyglądał na udany. Ostro obserwujący detektyw-psycholog zauważył też systematyczne drżenie kolan. Lecz czemu — u licha! — on sam Bernard Żbik, był niespokojny coraz bardziej. Czytał kiedyś i słyszał o specjalnym fluidzie, o wpływie jaki wywierają na ludzi zdrowych osobniki umysłowo patalogiczne. Czyżby jednak... Coś było w powietrzu takiego...

Erazm Stokowski otworzył oczy, jakby zbudzony z głębokiego snu. Już. Downar zapalił nowego papierosa i milczał.

— Dongola jest miejscowością na granicy pustyni Libijskiej i Nubijskiej w Egipcie Angielskim. Byłem w tej miejscowości...

Tu głos finansisty urwał się. Ku swemu bezgranicznemu zdumieniu inspektor zauważył na jego twarzy prawdziwą łzę. Ona to powstrzymała detektywa przed ostrym zareagowaniem, nie miał zamiaru wysłuchać jeszcze na dobitek wykładu geograficznego o Egipcie. W następnej chwili rysy bankiera stężały i głos znów stał się normalny, ale jakby zacięty, dziki. Bernard Żbik zrozumiał to później. Teraz nie pozostało nic innego jak czekać.

— Przeżyłem w Dongolii najstraszniejsze godziny w mym życiu. Było to w czerwcu, rok i cztery miesiące temu. Byłem wtedy urzędnikiem kontraktowym angielskiego towarzystwa kartograficznego. Egspedycja pod mojem dowództwem wyruszyła na pustynię dla dokonania pomiarów.

— Pan jest topografem — zdziwił się Żbik. — Myślałem, że pan jest bankierem i przemysłowcem.

— Bankierem jestem od roku. Przedtem byłem geografem-technikiem.

I przed rokiem był pan zwykłym urzędnikiem kontraktowym ekspedycji geograficznej. I nic więcej? Tylko?

Bernard Żbik wytrzymał ostre jak igła spojrzenie, mówiące wyraźnie: co panu do tego — ale nie zraził się.

— To pytanie jest zbyteczne, panie inspektorze.

— Lecz ja nie jestem głupcem, panie dyrektorze. Jestem nawet inteligentny.

— Była wtedy noc — ciągnął Stokowski bezpośrednio i ten szczegół przejścia był dla inspektora najbardziej wartościowym z dotychczas zaobserwowanych. — Nie zdążyliśmy do obozu ekspedycji. Ja i mój towarzysz. Gwałtowny samum piaszczysty — tak zwany suchy — zaskoczył nas u stóp niskiego wzgórza. Jedynym sposobem ratunku w takim wypadku jest położenie się pod brzuch konia i czekanie na zmiłowanie Boże. Zmusiliśmy zwierzęta do położenia się, spętaliśmy im nogi, zabezpieczyliśmy aparaty pomiarowe i pozostało tylko czekać.

— Kim był towarzysz, o którym pan wspominał.

— Był moim sekretarzem.

— Jego nazwisko?

— Charles Barney.

— Proszę, niech pan kontynuuje swoje opowiadanie.

— O godzinie drugiej po północy nastąpiła przerwa w burzy. Wydobyłem się z piasku i stwierdziłem, że mój koń berberski jest martwy. Nie widziałem też wokoło Barkey'a. Z dala dochodził głuchy poświst wirującego wiatru, to zbliżał się następny atak burzy piaszczystej, o wiele groźniejszy od pierwszego. Myślałem tylko o sobie. Zacząłem grzebać lufą rewolweru w piasku, gdyż nie chciałem zostawić cennych aparatów pomiarowych. Nagle natrafiłem ostrzem na coś twardego. Była to płyta z lanego żelaza z umocowanym pośrodku pierścieniem. Udało mi się podnieść ją i znalazłem wąskie schody do szybu, prowadzące w głąb ziemi.

Przemysłowiec przerwał dla zaczerpnięcia tchu. Zmierzył bystrem i zupełnie inteligentnym spojrzeniem twarz inspektora, lecz ta pozostała nieruchoma i obojętna.

— Zaświeciłem latarkę, której piasek nie zniszczył i stwierdziłem, że znajduję się w górnym szybie ogromnej piramidy podziemnej, czy też zasypanej — tego nie wiem do dziś. Nade mną rozhuczała się burza, słyszałem ją poprzez żelazną płytę. Na tej to płycie od strony wewnętrznej zauważyłem czerwoną płaskorzeźbę, wyobrażającą boga egipskiego Ozyrysa. Byłem w grobowcu.

Po wypowiedzeniu ostatniego słowa twarz opowiadającego zbladła jeszcze bardziej. Bernard Żbik nie zareagował jednak zewnętrznie.

— Skąd pan wiedział, że to jest grobowiec — poddał wreszcie — gdy bankier milczał przez dłuższą chwilę.

— Znam bardzo dobrze historię powszechną — to należy do wiedzy geograficznej. Poznałem emblematy egipskie. Zresztą nie było trudno przekonać się. Zeszłem po wąskich i niemal półkolistych schodach niżej i tu dostrzegłem światło.

— Światło?! — zdumiał się inspektor. — Jakże to możliwe. W zamkniętym grobowcu?... — Jednocześnie zastanowił się po co Stokowski opowiadał mu tę dziwną i nieprawdopodobną historię. Jaki ona miała związek z niebezpieczeństwem, które groziło bankierowi — lub które on sobie uroił.

— Paliło się światło — powtórzył finansista jak echo. — Mały kaganek oliwny, czy w innym płynie. Nad tą lampką stał na postumencie ogromny posąg Ozyrysa — boga zemsty. Zemsty... powtórzył i zadrżał już zupełnie wyraźnie, a Ber-

nard Żbik rozumiał coraz więcej i coraz mniej.

— ...Ogarnął mnie naraz jakiś dziwny, niezrozumiały strach — chociaż uważam się za człowieka inteligentnego i nie uznaję zabobonów. Chciałem uciekać, jak najprędzej. Zdawało mi się, że jakieś niebezpieczeństwo groźne i wielkie — obejmuje mnie niby w sieć zdradliwą, bo niewidoczną. Zupełnie bez namysłu i bez logicznego uzasadnienia zacząłem biec ku szybowi, bo...

Bankier nie dokończył. Oddychał ciężko gwałtownie. Przez minutę wydawało się, że nie może złapać tchu. Żbik sięgnął po karafkę z wodą, lecz Stokowski uspokoił go ruchem dłoni.

— Dziękuję. Już mi przeszło. Pan będzie się chyba śmiał, ze mnie po tym, co panu teraz powiem.

— Nie — zapewnił go inspektor poważnie. — Nigdy nie śmieję się z ludzkich objawów psychicznych o ile są uzasadnione i... prawdziwe.

— Posąg boga Ozyrysa poruszył się i pogroził mi ręką!

Detektyw zmarszczył brwi i zmierzył opowiadającego wiele mówiącym spojrzeniem. Zaczynał wierzyć, że miał przed sobą człowieka obłąkanego i chorego na manję prześladowczą.

— Czy pan cierpiał kiedyś na halucynacje i omamy wzrokowe.

W odpowiedzi na swe odważne pytanie ujrzał znów ten mądry, wyrozumiały, wcale nie obłąkany uśmiech i usłyszał natychmiastową, stanowczą odpowiedź:

— Nigdy. Mam wprawdzie osłabione serce, ale z nerwami jestem w porządku. Ludzie o chorym systemie nerwowym nie potrafią przeprowadzić fuzyj, tworzyć koncernów przemysłowych i kierować konsorcjum bankowym. To byłoby jednak zbyt ryzykowne, panie inspektorze.

— I ja tak myślę.

Atmosfera stała się na chwilę luźniejsza i mniej dławiąca — ale tylko na chwilę.

— Co się stało kiedy pan podbiegł do szybu. I przedtem jeszcze jedno pytanie: Na czem polegał ów dziwny strach. Czy to było coś konkretnego, uchwytnego — lub tylko sytuacyjnego i... jednak nerwowego.

— Odnosiłem wrażenie, że ktoś na mnie patrzał. Nie umiem tego bliżej wyjaśnić. Wbiegłem na schodki do żelaznej płyty z emblematem Ozyrysa. Udało mi się ją podważyć i wyjrzałem na firmament. Samum już przeszedł. Powietrze było ciche i... groźne. Oddaliłem się o kilkanaście metrów od wejścia do grobowca. Strach nie mijał.

— Na czem polegał ten strach — nalegał Żbik. — Przecież jest pan człowiekiem bezwzględnie inteligentnym i mądrym...

— Wiedziałem, że grozi mi niebezpieczeństwo.

— Śmierć?

— Śmierć — powtórzył bankier i zbladł nagle.

Lecz cierpliwość Bernarda Żbika była już wyczerpana. Wstał i spojrzał z góry na bankiera.

— Panie Stokowski, wszystko ma swoje granice. O co panu właściwie chodzi w tej całej sprawie. Czy po to mnie pan wzywał, aby opowiedzieć mi nowelę Allana Leraulta pod tytułem „Zemsta Ozyrysa" — jako swoją własną przygodę w Egipcie. Czy pan wogóle był w Egipcie?

— Ależ...

— Proszę mi nie przerywać. Wezwał mnie pan, bankier, człowiek prawdopodobnie poważny — przybyłem. Przez piętnaście minut mówił pan mętnie — słuchałem cierpliwie i zaproponowałem, że sobie pójdę. Prosił mnie pan — zostałem ,aby wysłuchać nowelki francuskiego auautora jako pana autentyczne przeżycie. Udawałem, że panu wierzę, zadawałem nawet pozornie logiczne pytania — a pan kłamał, kłamał, kłamał. I przytem nie wygląda pan wcale na umysłowo chorego. Tu coś jest inaczej niż jest, panie Stokowski. Więc..

Przez chwilę panowało wyczekujące milczenie. Bernard Żbik nie spuszczał oczu z twarzy bankiera. Naraz ujrzał jak grube wargi drgnęły konwulsyjnie i oczy rozszerzyły się gwałtownie:

— A więc...

Erazm Stokowski wypowiedział tylko to jedno słowo, zacharczał urywanie i padł jak kłoda na dywan. Jednym skokiem znalazł się inspektor przy nim, przyklęknął i otworzył mu kołnierzyk i marynarkę.

Zemdlał. Panie inżynierze! Proszę zawiadomić lekarza lub pogotowie.

Downar bez słowa podszedł do telefonu przy oknie. Na twarzy sekretarza widniało niekłamane wzruszenie. Otworzył książkę telefoniczną — lecz w tej samej chwili Stokowski rozwarł powieki, spojrzał półprzytomnie dookoła i rzekł wyraźnie:

— Proszę nie wołać nikogo. Już mi nic nie jest. To... serce.

Bernard Żbik spojrzał tylko krótko na szarą twarz bankiera i upewniło go, że sprawa jest naprawdę poważna. Co do tego nie miał wątpliwości od samego jej początku — chodziło tylko o punkt widzenia. W ostrych, inteligentnych rysach siedzącego na przeciw niego — może chorego — człowieka, w tych zmarszczkach i cieniach czaił się prawdziwy strach przed rzeczywistem niebezpieczeństwem.

W tej chwili, bezpośrednio po zemdleniu nie było jednak celu indagować Stokowskiego. Jeżeli za tymi wszystkimi dziwnymi okolicznościami kryje się jednak coś — to trzeba poczekać. Siłą nie można nikogo zmusić do złożenia zameldowania o przestępstwie — zmyślonym czy prawdziwym, to już inna sprawa.

Zlecił Stokowskiego opiece sekretarza, z którym wymienił kilka zdań na uboczu, radząc mu mimo to wezwać domowego lekarza. Była godzina druga, gdy wychodzili z pięknego hallu banku.

— Dziwny człowiek — aspirant rzucił papieros do kosza zawieszonego na latarni. — I co za dziwaczne niesamowite postępowanie. Co to może oznaczać.

— Nic. Może Stokowski jest umysłowo chory. Manja prześladowcza, bo ja wiem... Uroił sobie, że przeczytana nowela jest jego własnem przeżyciem. Słyszałem już o takich wypadkach. Może się mylę. Wstąpimy tu na obiad.

O pół do czwartej obaj przyjaciele pożegnali się i Bernard Żbik udał się do swego mieszkania na Szkolnej. Po drodze zastanawiał się nad przeżyciami dzisiejszego dnia. Po chwili machnął jednak ręką, gdyż nie mógł znaleźć żadnego logicznego wyjaśnienia. Ostatecznie nawet słynny bankier może być wariatem lub półwariatem i na to niema rady.

Drzwi otworzył Stefan, jak zwykle z powieścią kryminalną w lewej ręce. Odebrał od swego pana kapelusz i palto. — Zaraz, panie naczelniku, tu jest jakiś list do pana. Polecony expres, musiałem pokwitować.

Nie gadaj tyle. Pokaż.

Oderwał brzeg dużej, sztywnej koperty i stwierdził, że wewnątrz nie leży żaden papier. Omyłka, czy żart? Sięgnął jeszcze raz palcami i wyczuł małą wypukłość. Wydobył płaski przedmiot z kości wielkości ziarna fasoli. Położył go na stole i przyjrzał mu się przy świetle.

(Ciąg dalszy w następnym numerze.)

Najciekawsze audycje Polskiego Radia w Warszawie

Niedziela, dnia 16 maja 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa ze Lwowa 10.30 „Słynni dyrygenci" — koncert 12.03 Poranek muzyczny 14.30 „Trzy ballety" — aud. muzyczno słowna 15.00 Muzyka rozrywkowa 15.30 Audycja dla wsi 16.00 Dawne tańce — płyty 16.20 „Jak świętowali szewcy w Szamotułach" — słuchowisko 17.00 Koncert symfoniczny (z Katowic) 19.00 „Na wakacjach" i „Cienie" — obrazki B. PPrusa 19.20 Nasi ulubieńcy śpiewają — płyty 21.00 Wesoła syrena: Przegląd majowy" 21.30 „Z dzisiejszej twórczości Lwowa" 22.15 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 17 maja 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Torunia 10.30 „Popularne zespoły salonowe" — koncert 11.30 „Dni Lwowa" — migawki 12.03 Poranek muzyczny w wyk. Orkiestry Polskiego Radia 14.00 Transmisja zlotu harcerskiego Chorągwi Warszawskiej 14.30 Lekkie piosenki i dwufortepianowe utwory 15.10 Rozstrzygnięcia konkursu dla dzieci „Dlaczego powinniśmy kochać i szanować las" 15.30 Aud. dla wsi 16.00 Polska Kapela Ludowa 17.00 „Piękno Warszawy" — odczyt 17.15 Wirtuozi smyczka — płyty 18.20 Reportaż z przebiegu Zjazdu Kół Śpiewaczych w Toruniu 18.30 Koncert nagrodzonych chórów na koncercie zorganizowanym przez Pomorsik Zw. Kół Śpiewaczych 19.00 Audycja żołnierska 19.30 Stare przeboje 21.00 „Przy literackim stoliku" — wieczór literacki 21.30 „Z zapomnianych arcydzieł" 22.00 Transmisja meczu piłkarskiego Pogoń — Vienne (ze Lwowa) 22.30 Muzyka taneczna — płyty.

Wtorek, dnia 18 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Mała Orkiestra Polskiego Radia 15.15 Muzyka lekka — płyty 16.30 Zespół Stefana Racohnia 17.00 „Dni powszednie państwa Kowalskich' 17.15 Koncert solistów 17.50 „Symforion Drucik o kobiecie" — monolog 18.20 Orkiestra Dajosa Beli — płyty 19.00 Dyskutujmy: „Antagonizm wsi i miasta 19.20 Mniej znane walce 20.15 Koncert symfoniczny 22.30 „Odchylenie od normy" — fragment z dzieła J. Bystronia „O komiźmie" 22.50 Muzyka lekka — płyty.

Środa, dnia 19 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert rozrywkowy 15.15 Muzyka salonowa w wyk. Małej Orkiestry P. R. 16.10 „Ojcowizna" — słuchowisko dla dzieci według B. Prusa 16.35 Orkiestra mandolinistów 17.00 „O kampanii kijowskiej" — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 „Z psychologii zwierząt" — pogadanka 18.20 Muzyka lekka (płyty) 19.00 „Prus w perspektywie czasu" — szkic literacki 19.15 Płyty dla znawców 19.50 Marta Eggerth i Jan Kiepura 21.00 Koncert chopinowski 21.45 Józef Haydn: muzyka do dramatu „Król Lear" 22.10 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 20 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Poranek muzyczny dla młodzieży szkół powszechnych 12.03 Utwory M. Rimski-Korsakowa — płyty 15.15 Koncert południowy 16.35 Śląskie pieśni ludowe 17.00 „Pogotowie pracy" — odczyt 17.15 Koncert solistów 17.50 „Wojciech Oczko — znakomity lekarz polski 16-go stulecia" — odczyt 18.20 Orkiestra jazzowa Roy Foxa — płyty 19.00 Premiera słuchowiska p. t. „Stary subiekt" p/g „Lalki" Bolesława Prusa 19.45 Muzyka lekka — płyty 20.00 Duński koncert europejski Transmisja z Kopenhagi 21.15 „Schodnica — kolebka polskiego przemysłu naftowego" — felieton 21.30 Kwartet Schrammla 22.00 16-ta Audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich" — „Jan Maklakiewicz".

Piątek, dnia 21 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Koncert popularny w wyk. Ork. Reprezentacyjnej KPW. 15.15 Piosenki o miłości — płyty 16.30 Koncert rozrywkowy 17.00 Warszawa jako stolica Polski — odczyt 17.15 Wileńska orkiestra P. R. 18.20 Fortepian i skrzypce jako instrumenty jazzowe — płyty 19.00 „W Musafirchanie" (W gospodzie tureckiej) — opowiadanie 20.45 Fragment operowy 20.15 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej 22.30 „Trzy życzenia" — skecz 22.45 Muzyka taneczna — płyty.

Sobota, dnia 22 maja 1937 r.

6.30 Audycja poranna 11.30 Audycja dla szkół 12.03 Marsze i walce koncertowe — płyty 14.30 „Wesoły zwierzyniec" — obrazki dla dzieci młodszych 15.15 „Krajobrazy w muzyce" — w wyk. Orkiestry pod dyr. A. Hermana 17.00 Transmisja nabożeństwa majowego z Ostrej Bramy w Wilnie 18.20 Nastrojowe piosenki — płyty 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 19.30 Koncert rozrywkowy 21.00 Koncert kameralny 21.35 Chór Orlanda w swoim repertuarze 22.00 „Dawny świadek literacki w satyrze Prusa" 23.00 Muzyka taneczna.

H-U-M-O-R

WŚRÓD KOLEGÓW

— A co zrobili koledzy ,widząc, żeś wpadł do wody?

— Co, wyobraź sobie rzucili za mną kawałek mydła!

BEZ POŚREDNIKÓW

Pewien dygnitarz telefonuje do zakładu pogrzebowego.

— Moja służąca jest chora na grypę, chciałbym zamówić karawan na pojutrze...

— Jakto, czemu pan nie wezwie przede wszystkim lekarza?

— Nie! — pada kategoryczna odpowiedź. — Zwalczam pośredników.

WIELKI UCZONY

Dzień jest słoneczny i piękny, a pan profesor W. wrócił do domu przemoczony do nitki.

— Co się stało? — pyta zdumiona małżonka — przecież nie ma deszczu!

— Wiem... ale wyobraź sobie byłem w łaźni i zapomniałem się rozebrać!

W MAGISTRACIE

Do magistratu zgłasza się jakiś pan.

— Chciałbym zapłacić podatek od psa...

— Dobrze! Nazwisko?

— Rex.

NIESZCZĘŚLIWE DZIECKO

Pewna starsza pani idzie ulicą i widzi rzewnie płaczącego chłopca. Podchodzi do niego, daje mu dziesięć groszy i pyta:

— Czego płaczesz, chłopcze?

— Bo mnie starszy braciszek pobił...

— Za co?

— Za to, że źle rozsypałem na chodniku pestki z pomarańczy i pani się przewróciła!

ŻYJE Z CUDZYCH BŁĘDÓW

— Widzisz tego jegomościa? On żyje z błędów, które robią inni ludzie!

— Jakim sposobem?

— Ma fabrykę gum do wycierania.

MIĘDZY ZAKOCHANYMI

— Gdzie się spotkamy jutro?

— Gdzie chcesz.

— A o której?

— Wszystko mi jedno.

— Wobec tego do widzenia. Ale proszę cię przyjdź punktualnie!

OSTATNIE ZMARTWIENIE SKAZAŃCA

Skazanego na śmierć spekulanta środkami żywności, prowadzą żołnierze na miejsce straceń. Skazaniec — żyd jest przesądny.

— Powiedzcie, towarzyszu, jaki dziś dzień?

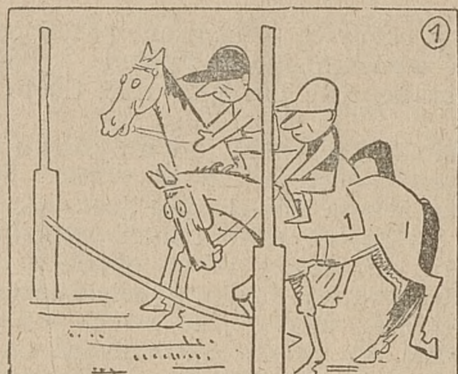
— Poniedziałek.

— Co wy mówicie? To dopiero będę miał ciężki tydzień...

ICH OPINIE

Ona: — Tego tylko można nazwać dobrym mężem, który zarabia więcej niż żona może wydać.

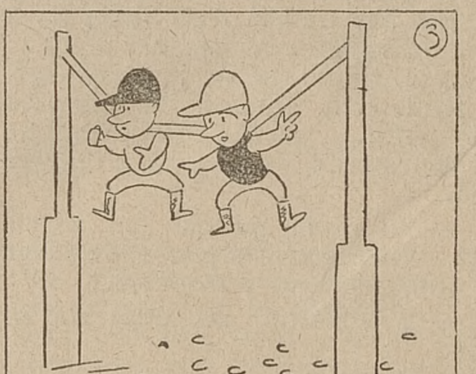
On: — Tą tylko można nazwać dobrą żoną, która wydaje mniej, niż otrzymuje od męża.



Dżokeje startują...



piękne jest życie...



na świeżym powietrzu...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i zagranicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były zgóry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Maria Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie